



PG

7399

K97 D9

Author _____

Title _____

Imprint _____



PG 7399

.K97 D9

Copy 1

Dziesięć Lat Karczmy.

Dramat w pięciu aktach, na tle życia Polaków
w Ameryce,

przez

Ks. JANA KUBACKIEGO.

Kubacki, Jan



1913

GRAMZA i RUDYŃSKI,

DRUKARZE.

SOUTH BEND, INDIANA.

Copyrighted, 1913. by Rev. John Kubacki.

DEDYKACYA

PG 7399
K97D9

==
Jego Ekselencyi,

Najprzewielebniejszemu Księdzu Biskupowi

Pawłowi P. Rhodemu,

pierwszemu Polskiemu Biskupowi w Ameryce,

oraz

Pierwszemu prezesowi Honorowemu

*Pierwszego Związku Polskich Kapłanów
Wstrzemięźliwców w Ameryce,*

w Dowód Długoletniej Przyjaźni, Czi i Szacunku,

tudzież

*uznania i wdzięczności za nieocenioną pracę refor-
macyjno-narodową,*

*pierwsze to dziełko, wydane w celu propagandy
Wstrzemięźliwości wśród Wychodźstwa Polskiego,*

*Pierwszy tegoż Związku Kapłanów czynny Prezes,
uniżenie i serdecznie poświęca.*

KS. JAN KUBACKI.

66-36944

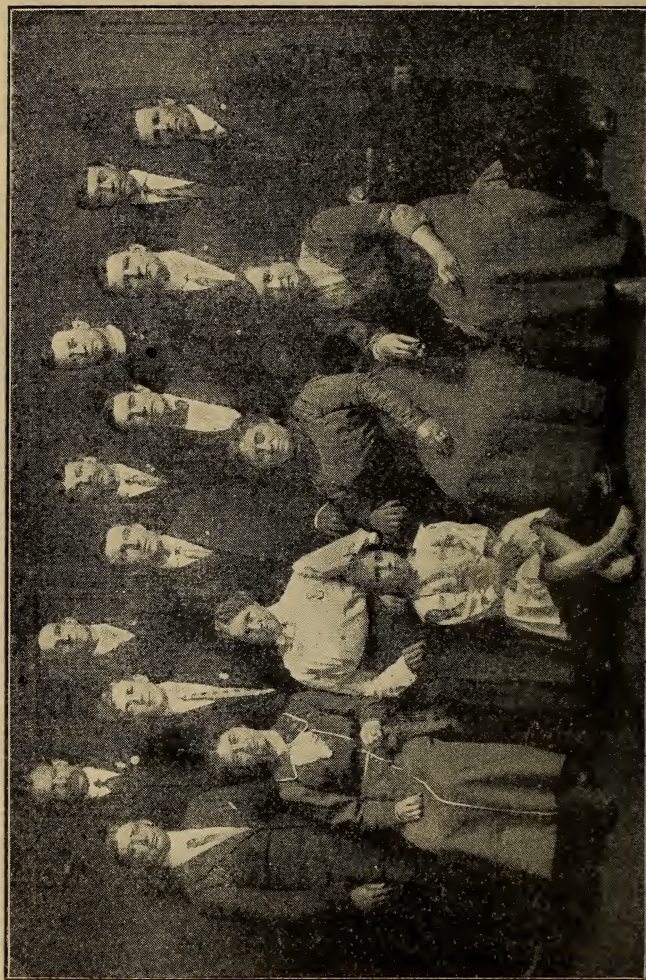
© Cl. D 33264

1201

BMS Dec 29, 65.

dp 3 Jan 68.





Jan Chrustowski, (policjant)
 S. K. Krzyżaniak, (Witka)
 Cecylia Magiera, (Mitabela)

Fr. Wiśniewski, (Romafski)
 Dyonizy A. Gorka, (Morgan)
 Marya Zmudzinska, (pani Morgan)

And. Nadolski, (policjant)
 Roman Ducky, (Śladek)
 Stasia Magiera, (Jadzia)

Ks. J. Kubacki, (Autor)
 Bol. Bierwagen, (Frank)
 Wiktorja Kujawa, (pani Śladek)

Józef Gruza, (Zielonka)
 F. Pactorak, (Ksiądz)
 Weronika Ślachowska, (Kasia)

Dziesięć Lat Karczmy.

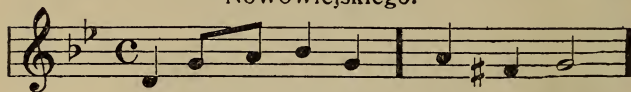
Osoby Dramatu.

1. SZYMON ŚLADEK, — karczmarz.
2. ANNA, — jego żona.
3. KASIA, — jego córka.
4. FRANEK, — jego syn.
5. JÓZEF MORGAN, — pijak.
6. FRANIA, — jego żona.
7. JADZIA, — jego córka, (dziesięcioletnia).
8. KS. LITAŃSKI, — miejscowy proboszcz.
9. PAN MORGANŃSKI, — podróżny.
10. WALOŚ HAMSKI, — syn długoletniego majora miasta.
11. SAMPEL WITKA, — “Wesołek” — parobek u majora Hamskiego.
12. MITABELA KOŁODZIEJÓWNA, — służąca u pp. Hamskich.
13. HARWEK ZIELONKA, — szuler.
14. DWAJ POLICJAŃCI.
15. GAWIEDŹ, DZIECI z blaszankami i dzbankami sceny 2-ej, aktu 1-go.

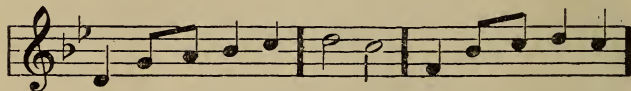
(Dodatek: Do personatu tej sztuki, można dodać djabełka, który wszystkich będzie kusił do złego. Przeważnie będzie u boku Śladka, od początku aż do śmierci; a będzie okazywał radość z każdego złego uczynku. W obec księdza będzie się krył i okazywał bojaźń. Wciągnie Walosia i Śladka do “piekła.” Zaś przy śmierci Jadzi zdala okazywać będzie swoje niezadowolenie z obecności jej Anioła Stróła.)

Hymn abstynentów.

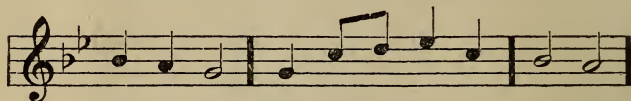
Słowa ks. Józefa Janiszewskiego. Muzyka Feliksa Nowowiejskiego.



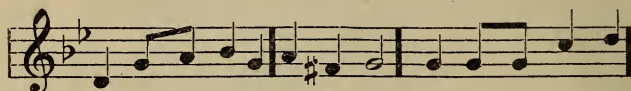
Hej! W gó-rę ser - ca, w gó - rę skroń,



Ro - da - cy Ab - sty - nen - ci Choć wra - ża w ko - ło



bły - ska broń, Nam się zwy - cię - stwo świę - ci!



Choć gro - żny nas o - ta - cza wróg, Zna - mi jest mo - cny



Bóg! Z na - mi jest mo - cny Bóg!

- 2 Idea nasza świętą jest!
Ona świat zbawić może!
Więc bierzmy w walce znoonej chrzest,
A jasne błysną zorze!
Świat pozna, gdzie prawdziwy raj
I gdzie jest szczęścia kraj! (bis)
3. Więc śmiało spieszymy w święty bój,
Sztandar nasz wznosząc w górę,
A zwalczym wrogów naszych rój,
Rozpędzim złudzeń chmurę,
Słońce zwycięstwa błysnie nam,
Staniem u szczęścia bram! (bis)

PRZEDMOWA.

Szanowni Czytelnicy i Publiczność, z łatwością, spostrzegą, że niniejsza sztuka nie jest oryginalną. Oparta jest na tle życia Amerykańskiego, niby to, Polskiego, ale nie podobna było jej oderwać zupełnie od oryginału, z którego jest wzięta, mianowicie, "Ten Nights in a Bar-Room," która, po za czynnikami religijnymi, najbardziej przyczyniła się do zwalczania alkoholizmu wśród społeczeństwa czysto amerykańskiego. Co zdziałała ta sztuka wśród Amerykan, niniejsza przeróbka ma wywołać wśród nas Polaków w Ameryce. Browarze, gorzelnicy i szynkarze wprost drżą przed tą sztuką angielską i czynią jej wszelkie możebne trudności gdziekolwiek ma być przedstawiana, albowiem przedstawia ich niecny "business" w jaskrawym i należytem świetle.

U nas, Polaków w Ameryce, inaczej. W społeczeństwie polsko-amerykańskim panuje jeszcze, czyto obłąd, czy zaślepienie, przynajmniej mylne pojęcie, tak, że alkoholizm uchodzi u nas za rzecz zwyczajną, prawie konieczną, a szynkarstwo i browarstwo za interes uczciwy i pożyteczny. Czemu tak jest, rzecz byłaby długa opisać. Wymienię tylko jedną przyczynę. Społeczeństwo czysto amerykańskie oparte jest na pewnej powłoce etyki i lud sam obiera sobie kierunki z własnej inicjatywy; zaś nastrój społeczeństwa polskiego, opiera się na religii, w której kler jest wyraźną miarodajnią. Lud też naśladuje kler, prawie bezmyślnie, zwłaszcza w rzeczach ujemniejszych, w których zastawia się jego przykładem. "Jaki pasterz, taka owczarnia." To też, po zważeniu wszelkich czynników, przyczyniających się do alkoholizmu w naszym narodzie, tak w Ameryce, jak w kochanej ojczyźnie, pod nieodpornym naciskiem prawdy, zmuszeni jesteśmy przyznać, że, ostatecznie, na klerze naszym ciąży odpowiedzialność za te oplakane stosunki w narodzie naszym. To też słusznem jest, abyśmy od kleru spodziewali się inicjatywy w reformie.

Przedo to tej sztuki, która ma być pewnym czynnikiem w tej reformie, wprowadziłem nową, zupełnie w społeczeństwie polskim konieczną, postać, w osobie "miejscowego księdza proboszcza." Nie jest to typ kapłana zwykłego, znanego, ale typ wyjątkowy, idealny, pożądaný, — (oby się tacy choć na kamieniu rodzili!) — który, sam będąc wolny od tych różnych słabości naszych, może, słowem i przykładem, śmiało zwalczać to źródło wszelkiego wśród nas zepsucia, jakim jest alkoholizm. "Szkoda, że nie wszyscy kapłani pracują w tym kierunku."

Może te słowa wydadzą się zbyt otwarte i ostre; ale prawdy na długo słumić nie można i wnet ktoś będzie musiał te słowa wypowiedzieć. Niech niniejsza okazja posłuży do tego, skoro obudzenie naszego społeczeństwa jest zadaniem tej sztuki.

Zatem idźcie wy apostołowie wstrzeźliwości i na wszystkie strony głoście zasady zdrowego rozumu: ochyde szynkarstwa i słusność wstrzeźliwości. Idź obywatelu, Romańsku i okaż naszym rodakom, jakto, przy każdej sposobności, trzeba ganić zwyczaj używania trunków upajających; idź Józefie Morganie i głoś przykre twoje z wódką doświadczenia a korzyść wstrzeźliwości; idź Wesołku pomiędzy młodzież naszą i opowiadaj o głupocie młodzieńczej, aby nie czekała na doświadczenia, ale od samej młodości strzegła się oplakanych skutków alkoholu; idź nawet i ty, płocha Mitko i wskazuj niedorzeczność różnych zwyczajów, twoim, również płochym siostram, rówieśnikom; koniecznie idź, spiesz ty, Pani Śladek i nauczaj matki, jak szynkarzom i mężom ostrą ale słuszną prawdę mówić: "Mężów i ojów zatruwasz i przeklinają cię żony i dzieci; młodzież psujesz i przeklinać cię będą przyszłe pokolenia." Oby cię jaknajwięcej matek usłuchoło! Tak, idź i ty, Kapłanie Boży; mężnie staw czoła całemu piekłu i niezliczonej hordzie jego najmitów na ziemi. "Nie bój się tych, którzy zabijają ciało, a duszy zabić nie mogą; ale raczej bój się tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła." "Bóg z nami, rodzic przeciwko nam?" Idźcie wy wszyscy, nawet wy odarte, głód i nędzę cierpiące dziateczki rodziców alkoholików; wypelniajcie swoje zadania, a może kiedyś, choćby tylko w części, ziści się cel waszego i tej sztuki wysłannictwa.

Autor.

Dziesięć Lat Karczmy.

TREŚĆ DRAMATU.

AKT I.

SCENA 1-sza:— Śladek założył hotel. Ks. Litański spotyka Śladka, przed jego hotelem i wymawia mu, że puścił się na ten interes.— Śladek oburza się na księdza. Odpędza go. Ksiądz przeklina jego interes i ostrzega, że, może kiedyś, będzie go żądał, ale na próżno.

SCENA 2-ga:— Romański, podróżny, przyjeżdża do hotelu. Spotyka Sampla Witkę, który dziwi się, że Romański nie pije trunków. Niezdołał dowiedzieć się kim jest Romański. Śladek przechwala się przed Romańskim, z swego sprytu, szczęścia i rodziny, a szczególnie, z swego “dobrego” syna, Franka: “Mógłby w tem pływać, a do ust by nie wziął”.

SCENA 3-cia:— Życie w karczmie. Dalsze przechwałki Śladka. Lepszy interes na karczmie, niż na starym młynie.— Pani Śladek, żona Szymona, wyraża swoją obawę o dzieci.— Witka sprytem dostaje wypić za darmo. Zielonka, szuler, prorokuje Śladkowi bogaty dorobek. Morgan, pijak, odpowiada: “Jeżeli on będzie bogatszy, to ktoś będzie uboższy”. Morgan wymawia Śladkowi, że go zrujnował. Jadzia szuka taty: “Mama mówi, że tata ma przyjść do domu”.—Waloś i Zielonka biją się przy kartach.

AKT II.

(Upływa rok jeden.)

SCENA 1-sza:—Mitabela dostaje list od “H. Z.” Bierze Witkę na doradcę Romański i Ks. Litański rozmawiają, o skutkach karczmy, w jednym roku. Romański spotyka Witkę, który opiera się jego radom, aby przestał pić. Śpiewa: “Trzeba Pić”.

SCENA 2-ga:— Śladek prywatnie narzeka, że interes lichy idzie, a przed Romańskim przechwala się, że idzie jaknajlepiej. Pani Śladek wypędza córkę, Kasię, z karczmy do kuchni; “Tu nie miejsce na porządną dziewicę.” Śladek gniewa się, że nie może jej użyć, na wabika do

karczmy. Morgan przepija ostatnie dziesięć centów, po-
czem Śladek chce go wypędzić: "To cię wyniesie", Rzuca-
jąc w niego butelką, trafia Jadzię. Morgan bije Śladka.

AKT III.

SCENA 1-sza:— Witka szuka Walosia, znajduje Zie-
lonkę. Odgraża mu się, ale z strachem.

SCENA 2-ga:— W domu Morganów Jadzia prosi, aby
tata nie wychodził. Jadzia mówi w gorączce. Morgan
dostaje napadu obłąkania pijackiego (delirium tremens).

AKT IV.

SCENA 1-sza:— Śladek wygaduje na księdza: "Trze-
ba go zniszczyć, wypędzić". Franek odszczekuje się
ojcu. Pani Śladek ubolewa, nad smutnymi stosunkami.
Witka znajduje Walosia. Wszyscy przycinają Śladkowi,
że zranił Jadzię. Witka podchmielony, chce wszystkich
bić. Śladek mityguje wszystkich poczęstunkiem. Śladek i
Witka wygadują na temperenclerów: "Gdzie nasze prawa?
Gdzie wolność?" Kłótnia Zielonki z Walosiem, przy kartach.
Waloś, straciwszy wszystko, w desperacji: "Tobie w łeb,
a sobie potem." Zielonką sztyletem zabija Walosia i ucieka.

SCENA 2-ga:—Witka "tropi" Zielonkę: "Ja go mam!"

SCENA 3-cia:--- Pani Śladek czuwa nad chorymi. Sen
Jadzi. Morgan rozczulony: "Za łaską Boga, sen ten sta-
nie się rzeczywistością." Przymusza nie pić. Jadzia umiera.

AKT V.

(Upływa lat dziesięć).

SCENA 1-sza:--- Romański znowu odwiedza Cedrówkę.
Witka już się odrzekł trunków. Wspomnienia z dawnych
lat. Witka oświadcza się Mitce. Idą, dać na zapowiedzie.

SCENA 2-ga:--- W karczmie nieład. Franek przepity,
grozi Romańskiemu. Chce go bić.--- Witka obrania Ro-
mańskiego i zaprasza na ucztę, do majora Morgańskiego:
"Idźmy stąd, to już nie hotel, to chlew, gdzie, nie ludzie,
ale dwa wieprze mieszkają." "Franek, zabiłeś ojca twego!"

SCENA 3-cia:--- Uczta u majora Morgańskiego. Rady
na przyszłość. "Niepozwolimy na otwarcie karczmy
w Cedrówce." Witka i Mitka proszą na wesele. "Dobranoc."

Dziesięć Lat Karczmy.

AKT I.

SCENA I.

(*Ulica przed karczmą. W głębi na lewo karczma. W głębi na prawo, za kulisami---wóz. Widać tylko drabinkę. Śladek stacza beczki z piwem i wódką z wozu do karczmy.*)

GŁOS WOŹNICY. (*Za kulisami*) Whoa! To wszystko!
(*Wciąga drabinkę na wóz.*)

ŚLADEK. To dosyć na dzisiaj. (*Wchodzi ksiądz z 3go pr.*)

ŚLADEK. (*do ks.*) Niech będzie pochwalony!

KSIĄDZ. Na wieki! No co, Szymonie, to jednak otworzyłeś karczmę, choć ci tak mocno odradzałem?

ŚLADEK. A jużci Księżę Proboszczu, czemu nie? Miasto już ma wszelkie składy i przedsiębiorstwa a porządnego hotelu jeszcze niema. A przecież to wszystko potrzebne do wygody obywateli i podróżnych; a hotelu bez wyszynku nie podobna prowadzić. Inne miasta mają karczmy, to i Cedrówka może mieć. A zresztą, cóż w tem złego? Pracowałem ciężko dość długo, teraz chcę trochę łatwiej na życie zarabiać. Dotychczas, jako młynarz, dawałem ludziom chleb, teraz dam im napój.

KSIĄDZ. Nie podoba mi się to i mocno mnie dziwi, że po tem wszystkiem, co ci mówiłem, jednak się na tę stronę przechyliłeś.

ŚLADEK. Cóż miałem robić? Ludzie namawiają, narzekają, że do Lipkowa za daleko po napitek chodzić, czy to chrzciny, czy wesele, czy poczęstunek przy pracy, albo choć i na lekarstwo.

KSIĄDZ. Ej, Szymonie, znowu powtarzasz to, coś przedtem mówił, aby się usprawiedliwić; a ja ci powiadam, że chyba djabeł cię skusił na ten interes. Łaszczysz się na lekki zarobek, a nie zważasz na to, że Bóg nie może takiego zarobku błogosławić, który ludzi do grzechu prowadzi.

ŚLADEK. Toć ja nikogo zmuszać nie będę. Ludzie przed nami pili, i po nas pić będą. A zresztą co Księdzu do tego? Niech Ksiądz pilnuje swego kościoła, a ja poprowadzę mój interes, jak mnie się podoba.

KSIĄDZ. Tak to już gadasz? Dawniej jako młynarz lepiej mówiłeś, a przynajmniej udawałeś lepszego, ale teraz już otwarcie pokazujesz czem jesteś. Widać, że szatan wybrał sobie trafnego agenta, aby dusze łowić.

ŚLADEK. “Dobrego karczma nie zepsuje, a złego i Kościół nie naprawi.”

KSIĄDZ. Widzę, że nie opłaci mi się tu z tobą przekomarzać. Wziąłeś się do tego haniebnego interesu i nic cię nie nawróci chyba cud łaski Bożej. Ale posłuchaj, co ci tu przed twoją karczmą powiem: Widzę, że szatan wkra-da mi się do parafii i ciebie wziął za swego agenta. Na twojej duszy spoczną te wszystkie grzechy, nędza i zbrodnie, których ta karczma będzie powodem. Jako pasterz tej parafii przeklinam ten interes, do którego się tu wzięłeś. Czy prędzej czy później, poznasz swój błąd. Czy będziesz miał czas się poprawić — niewiem.

ŚLADEK. Ha, ha, ha. Już ja sobie dam radę. Będzie nas dwóch. Ksiądz będzie ciągnął w jedną stronę a ja w drugą. Zobaczymy co mocniejsze, czy karczma czy Kościół. — A ksiądz nie powinien przeklinać swoich owieczek, ale modlić się za nie. — Zresztą powtarzam “to moja rzecz.” Czy tu nie wolny kraj? Proszę mi więcej nie czepiać na ulicy, bo dam aresztować. Precz mi ztąd, ty poło przekłety! W kościele kazanie praw, a nie na ulicy. Precz mi ztąd!

KSIĄDZ. Za ciebie i za wszystkich, co tu wstąpią, modlić się będę, ale interes twój i ich nałóg potępiam. A ty sam, jak teraz mnie odpędzasz, będziesz kiedyś mnie wołał, ale

może—nadaremno.

ŚLADEK. A, daj mi spokój. Ciebie i tak nigdy wołać nie będę. (*Wchodzi do karczmy*).

KSIĄDZ. Boże, odpuść mu, bo nie wie co czyni. (*Wychodzi w 1-sze lewo*).

SCENA II.

ROMAŃSKI. (*Wchodzi z 1-go pr. z walizkami jako podróżny, stawia walizy, ociera czoło*) Oto ostatecznie, po długiej podróży, w kurzawym pociągu, jestem w Cedrówce. Jak przyjemny dla znużonego podróżnego jest widok porządnej gospody. I ta tu także nie źle wygląda. Jeżeli gospodarz okaże się przyjemnym, to sobie tu kilka dni odpocznę. Jestem znużony. (*Za kulisami słychać wesołe gwizdanie*) A! Kogo tu mamy? Widocznie wesoły sobie chłopak, jakich nie mało w niewielkich miasteczkach, gdzie zepsucie jeszcze nie zatruło niewinnego serca, ani zachmurzyło młodzieńczego czoła. (*Sampel Witka wchodzi z 1-go lew. gwizdząc wesoło*) Dzień dobry, chłopaku! Czy znasz gospodarza tego hotelu?

WITKA. Czy ja znam gospodarza tego hotelu? Czy JA go znam? Panie, zkażesz pan, że nie znasz Szymona Śladka? Przecież, już jako młynarz, był znany na cały powiat, a teraz jako gospodarz, który otwiera nowy hotel, będzie znany jeszcze lepiej. Tak! Znam Szymona Śladka, dobry wiarus i patriota. A jego żona to najrozumniejsza kobieta w całym mieście. Jego córka śpiewa na chórze i ma śliczny głos, a syn jego Franek, to dawniej służył do mszy naszemu księdzu przez kilka lat. Dotychczas pomagał ojcu w młynie i każdy go lubił; teraz przyda się ojcu w hotelu. Będzie teraz weselej w Cedrówce. Na zaczęcie Szymon Śladek zakupił całą furę piwa i wódki i dziś wieczorem będzie "Grand Opening." Każdego poczęstuje za darmo. To dobry obywatel.

ROMAŃSKI. Na prawdę?

WITKA. Tak, na prawdę; i pan sam to przyzna, gdy się pan z nim zapozna. Ale zkaż pan jest? Widać, że pan jest obcym w Cedrówce.

ROMAŃSKI. Tak, poniekąd.

WITKA. Może pan egzekutorem i podatki pobiera?

ROMAŃSKI. Nie, nie zupełnie.

WITKA. Może inżynierem i wymierza tę nową koleją, która ma iść przez Cedrówkę.

ROMAŃSKI. Znowuś nie zgadł.

WITKA. To może pan cyrulikiem i leczy nagniotki?

ROMAŃSKI. Znowu się mylisz.

WITKA. Może pan chce kupić loty i osiedlić się w Cedrówce?

ROMAŃSKI. Jeszcześ nie zgadł.

WITKA. A może mnie nic do tego?

ROMAŃSKI. Tak! Teraz zgadłeś.

WITKA. Domyśliłem się.

ROMAŃSKI. Widać, że jesteś niezłym chłopakiem, masz dobre serce, to ci mogę powiedzieć dla czego tu przyjechałem.

WITKA. Niezłym chłopakiem? dobre serce? Proszę no się zapytać kogobądź w Cedrówce, a zwłaszcza księdza proboszcza Litańskiego, czym ja nie dostał nagrody za to, że byłem najskromniejszym chłopcem w całej szkole. Powiadają, że gdy byłem dzieckiem, to matka zawsze mi dawała dużo "Soothing Syropu" i zawszem spał a nigdy nie beczał. Później, gdy byłem już chłopcem, to ojciec mi czasem dawał wódki z malasem. He! to mi smakowało i zawszem byłem wesoły, tak, że mnie nazwali "Wesołkiem," a potem to Szymon Śladek, w młynie, nieraz dawał mi pociągnąć, bo on to tam miał, tak potajemnie, dla swoich znajomych i dobrze na tem zarabiał. Ale tego niech pan nikomu nie powiada.

ROMAŃSKI. Nie bój się. Nie jestem żadnym szpiegiem. Ale co dawniej młynarz czynił potajemnie, to teraz karczmarz czynić będzie otwarcie, a ty pewnie będziesz jego dobrym kostumerem. Nieprawda?

WITKA. Ma się rozumieć. Mój ojciec i matka pili i żyli aż do śmierci; czemu ja nie mam pić? Śladek wie co ja

lubię, to też regularnie mi podawał, a teraz jeszcze regularniej stawiać będzie, bo teraz nie będzie potrzebował się kryć. Ale ja nigdy się nie upijam. Trzeba znać swoją miarę; a ja znam moją.

ROMAŃSKI. Oby przynajmniej TAK było.

WITKA. I tak jest i tak będzie; trzeba znać swoją miarę, ile człowiek może wytrzymać. Czybyś może pan nie chciał mnie wypróbować? Pójdźmy, zobaczy pan, tyle (*pokazuje trzy palce*) wypiję i nic więcej.

ROMAŃSKI. Widzisz, dopiero ciekawiłeś się, czem ja jestem i po co tu przybyłem, a teraz, mówiąc o wódce, ciekawość twoja zamieniła się na pragnienie.

WITKA. Bo widzi pan, nie chcę nosa wścibiać do cudzych spraw. Lubię tak ogólnie o wszystkim i o każdym coś wiedzieć, to się może czasem przydać; ale skoro mi kto nie chce powiedzieć, to się więcej nie pytam. Widzi pan, służę u majora Hamskiego, to dużo rzeczy słyszę i muszę się trzeźwo trzymać, bo pracy nie mało; a nikt nie może powiedzieć, żebym ja moją pracę zaniedbał. Czasem, gdy od Śladka wrócę, to sobie muszę na sianie wypocząć, ale zawsze swoje zrobię. Gdy major zawoła: "Wesołek, zaprzęgaj!" to choćby i djabła to zaprzęgnę. O, major Hamski, to mądry człowiek. Każdy go poważa. Jest najbogatszym w całym mieście. Ma syna Walosia, dobry chłopak, a honoru broniliby jak oka w głowie. "Odważa zdobi młodzieńca." Ale, panie, (*przechodzi na prawo*) nie mam czasu tu stać i gadać; muszę iść, bo, widzi pan, już czas, aby ten chłopak wrócił do domu, a muszę na niego uważać. Ja jestem jego stróżem i muszę tak na niego uważać, jak na tę starą naszą siwą kobyłę, a ta w ostatnich czasach jest tak niesforną, jak oczarowana; dałbym ten kapelusz jakiej czarownicy, aby ją odczarowała. Czy nie pomógłbyś mi pan jej osiodłać, za kieliszek dobrej drapichy?

ROMAŃSKI. Nie, bracie, nie używam trunków upajających.

WITKA. Co? co pan mówi? Pan nie pije? No, panie, nie chcę pana obrazić, ale niech mnie wróble podzióbia,

żebym ja miał panu postawić kufelek piwa, albo buteleczkę drapichy, a pan by sobie nie łyknął, ażby zastęknął. Toć to głupstwo nie pić. (*poufnie*) Powiedz mi pan tak otwarcie: Czy pan tylko tak nie żartuje?

ROMAŃSKI. Wcale nie, toć TO jest właśnie to największe głupstwo na świecie, PIĆ tę truciznę.

WITKA. Pan akurat tak mówi jak nasz ks. proboszcz. Akurat! Dopiero tam szedł i o mało, że mnie nie spotkał, alem się skrył za szopę. Bo to czasem człowiekowi nogi zesłabną, albo droga nie równa, a on tedy mówi, że ja pijany. Ale nigdy nie. Ja zawsze wiem co robię. On też tak mówi jak pan i gdyby od niego zależało, toby wódki nie było ani na krople na żołądek. Ach! Teraz się domyślam, czem pan jest. Pewnie jednym z tych temperenclerów, coby to chcieli, żeby wcale wódki na świecie nie było. Ho, ho, zapóźno pan przychodzi. Śladek już ma całą furę. — Ale muszę się spieszyć i wrócić wieczorem. Do widzenia panu!

ROMAŃSKI. Do widzenia! (*Witka odchodzi na prawo*) Tak to jest. Idź gdzie chcesz, wszędzie zobaczysz, jak ten nieszczęsny nałóg trapi nasze społeczeństwo i niezliczone ofiary w grzech i nędzę wbija. O głupoto! Prawdę mówi Pismo Święte: "Niezliczona liczba głupich." (*Widzi jak dorosli i nawet niewiasty i dzieci wchodzą do wyszynku z blaszankami i butelkami po piwo, wódkę, itp. Dzieci czasem pociągają sobie, więc mówi*) Szkoła pijaństwa, gdzie te dzieci pobierają pierwsze nauki w tym haniebnym nałogu. Czy to nie wstyd dla rodziców i hańba dla społeczeństwa?—Ale, oto tu jestem. Muszę przecież gdzieś zamieszkać, a tu niema gdzie, jak tylko w tym jedynym hotelu, w którym znajduje się karczma. Ale cóż tu robić? Trzeba wejść. Że też to te nasze hotele nie mogą się obyć bez wyszynków. (*Bierze walizki i chce wejść do karczmy. Wchodzi Śladek z 3-go pr. niby to wracając z targu z koszem wiktuałów na rękę*).

ŚLADEK. Oto zdaje mi się, że mam już wszystko w porządku. Mam wszystkiego dosyć na cały tydzień. Żona w kuchni, Kasia w jadalni a Franek za barą; jesteśmy go-

towi każdemu usłużyć wedle gustu; czy kto wstąpi na jednego, czy chce się stołować choć cały rok. Już "Śladek's Hotel" jest "Open for business." (*Spostrzega Romańskiego*) A, gość! Dzień dobry, panu!

ROMAŃSKI. Dzień dobry! Czyś pan gospodarzem tego hotelu?

ŚLADEK. Tak, proszę pana. Mam to szczęście. Dopiero otworzyłem miesiąc temu i wszystko jeszcze nie jest w właściwym biegu, ale sądzę, że w krótkim czasie będzie. Na to potrzeba trochę czasu; ale co do wygody dla podróżnych, to już każdego zadowolimy. Czyś pan już po obiedzie?

ROMAŃSKI. Jeszcze nie. Tak brzydko wszystko wyglądało w restauracyi na dworcu, gdzieśmy stanęli na obiad, że zabrakło mi apetytu. Jak długo zanim kolacya będzie gotowa?

ŚLADEK. Za godzinkę, panie.

ROMAŃSKI. To dobrze. Proszę mi przygotować kawałek befsztyku z cebulką, a wnet zapomnę o straconym obiedzie.

ŚLADEK. Dobrze, będziesz miał pan porcję godną stołu królewskiego. Moja żona jest najlepszą kucharką w Cedrówce, a mój syn i córka to najmądrzejsze dzieci w całym powiecie—bez przechwałek.

ROMAŃSKI. To się chyba pan czujesz szczęśliwym.

ŚLADEK. Tak, jestem szczęśliwym. I zawsze byłem i zawsze spodziewam się być szczęśliwym. O, jakem Szymon Śladek, zawsze zdrowo patrzę na świat i o nic się nie kłopotę. Mam teraz wszystko w porządku. Mogę wyjść kiedy chcę i całe gospodarstwo zostawić w opiece syna. On się na wszystkim zna i o wszystkim pamięta. A co do szynku, to on tak naleje, jak ja sam. To bystry chłopak.

ROMAŃSKI. Ale czy pan nie boi się, narażać go na tak niebezpieczne pokusy?

ŚLADEK. O nie! Niebezpieczne pokusy? Nigdy! Kasa w jego opiece tak bezpieczna, jak w mojej. Franek pochodzi z dobrych rodziców. Nikt nie może powiedzieć, żeby

Szymon Śladek kogo choć na cent skrzywdził.

ROMANSKI. Ale pan mnie zupełnie mylnie pojmuje. Wcale nie mówię o kasie, ale o butelce.

ŚLADEK. Czy tylko tego się pan obawia? Niema o co. Franek nie pije, i mógłby w tem pływać, a do ust by nie wziął. Przecież on był jednym z pierwszych, którzy się ks. proboszczowi od trunków i tytoniu odpisali, gdy do Bierzmowania przystępowali, a ja za niego nawet ręczył. Ks. Proboszcz chciał, aby i do Towarzystwa Wstrzemięźliwości należał, ale powiedziałem mu, że to niepotrzebne. Odnzak był trochę za drogi. Ale on i tak pić nie będzie.

ROMAŃSKI. Lecz w towarzystwie, byłby pewniejszy i lepszych miałby kolegów.

ŚLADEK. Franek się z byle kim nie wdaje. Jego nigdy koledzy nie zepsują. To dobry chłopak. Przecież już ma swój rozum. — Ale, pocóż tu stoimy na ulicy? Wejdzmy, pan sobie odpocznie. (*Wchodzą do karczmy*).

KURTYNA SPADA.

SCENA III.

(*Wnętrze karczmy. 1-sze lewo jest główne wejście do hotelu; 1-sze pr. drzwi do kuchni; 3-cie pr. drzwi do pokojów i jadalni. W głębi trochę na lewo od środka kantor, półki z butelkami, szklankami, pudełkami od cygar, itp. Na półce cztery cygara, pudełko z kostkami do rzucania, na kantorze gazeta i szklanki. Trochę na prawo stół do kart; na nim karty. Cztery stołki przy stole, jeden przy kantorze dla Józefa Morgana. Harwek Zielonka przy stole bawi się kartami. Franek za kantorem ustawia szklanki itd.*)

(*Wchodzi Śladek i Romański z 1-go lew*).

ŚLADEK. Oto jesteśmy; i jak pan widzi, wewnątrz, jak na zewnątrz, wszystko jest w porządku. Czy pan pozwoli cygara i lampkę wina, aby czas spędzić przed kolacją?

ROMAŃSKI. Nie! Dziękuję! Gazeta mi wystarczy.

ŚLADEK. Franek!

FRANEK. Słucham.

ŚLADEK. Podaj temu panu gazetę.

FRANEK. Zaraz, skoro postawię panu Zielonce.

ŚLADEK. Pospiesz się. *(Do Romańskiego)* Oto chłopak co się zowie: zwinny i uczynny.

FRANEK. *(Do Zielonki, stawiając szklanę)* Proszę!

ZIELONKA. A tu masz okrągłaka, chłopcze. *(rzuca srebrnego dolara na stół)*.

FRANEK. *(Do Romańskiego)* Gazetę panie? Proszę!

WALOŚ. *(Za kulisami 3-cie drzwi na prawo)* Gospodarzu!

ŚLADEK. Proszę! Zaraz idę! *(Do Romańskiego)* Dom pełen gości dzisiaj, proszę mi wybaczyć. *(Wychodzi na 3-cie prawo)*.

WALOŚ. *(Wchodzi z 3-go pr.)* Ha, Franek! Bardzoś zajęty? Jak zwykle, co? Dobrze! Tak się należy! "Pańskie oko konia tuczy." Trzeba dopilnować. Ha, kolega Zielonka! Jak się masz, przyjacielu?

ZIELONKA. Jak pączek w maśle, wcale nie źle. Właśnie przychodzisz na czas. Czego się napijesz? Franek, zmieszaj no tam lampeczkę najlepszej. Ha, on umie! Nigdyś lepszej nie łyknął. On lepiej umie, niż jego ojciec, to prawda.

WALOŚ. Wiem to, nieraz próbowałem. No Franek, nie poszkap się tym razem, pokaż co umiesz.

FRANEK. Czego koledzy, ponczu szkockiego?

WALOŚ. Właśnie, ale niech będzie jak nektar boski.

ZIELONKA. Co tam nowego słychać w mieście? Nic?

WALOŚ. Nic osobliwego—tylko ja muszę być trochę ostrożny. Mój stary zaczyna trochę bardziej na mnie uważać.

ZIELONKA. Co? czy ty sobie sam jeszcze rady dać nie możesz? Czyś ty jeszcze nie wyszedł z pieluszek? To ci zabawne! Ha! Ha! Ha!

WALOŚ. Zabawne? Ha! Ha! Ha! Djabelne!

FRANEK. A tu macie nektar i jeżeli nie będzie smakował, tom kiep.

ŚLADEK. (*Wchodzi z 3 pr. idzie do Romańskiego*) Kolacya zaraz będzie. Wszystko tu idzie, jak w zegarze. Lubię porządek. Właściwie, nie wychowałem się przy gospodzie, ale jestem dosyć zręczny do wszystkiego; łątwo umiem się zastosować.

ROMAŃSKI. A czem się pan dawniej zajmował?

ŚLADEK. (*Przysiadauje przy Romańskim*) Jestem fachowym młynarzem i lepszego młynarza nie było w całym powiecie, — bez przechwałek. Ale mi się już ciężka praca sprzyrzyła i postanowiłem sobie los polepszyć. Więc sprzedałem młyn i otworzyłem gospodę i spodziewam się, że dobrze na tem wyjdę. Zarobek większy i łatwiejszy, niż na młynie.

ROMAŃSKI. Ale interes na młynie nie był lichy? Co?

ŚLADEK. O nie! Szło mi bardzo dobrze, wszystko mi zawsze dobrze idzie. Zeszłego roku ułożyłem przeszło tysiąc dolarów na czysto; co wcale nie źle, na sam źródłownik.

ROMAŃSKI. Toś pan był powinien z tego być kontent.

ŚLADEK. O nie, nie zgadzam się z panem. Każdy przecież chce zarobić jak najwięcej, a jak najmniej pracować. Tu na gospodzie, ja myślę ułożyć ze dwa lub trzy tysiące na rok, a praca wiele łatwiejsza. Trzeba przecież jak najwięcej zgromadzić na stare lata i aby dzieciom kiedyś coś dać:

ROMAŃSKI. To prawda, ale czy to, co pan im teraz da, będzie tak dobre, jak to, coby z młyna dostały?

ŚLADEK. Czy dwa lub trzy tysiące nie są lepsze od jednego? Gdzie rachuba u pana?

ROMAŃSKI. Ale zastanów się pan nad różnicą zawodów i wpływami. Zawód młynarza a zawód karczmarza. Czy dzieci twoje będą tu tak bezpieczne, jak przy młynie?

ŚLADEK. Jeszcze bezpieczniejsze. Czemu nie? Niema tu żadnej maszyneryi. przy której by się mogły pokaleczyć, ani wody, gdzieby się mogły utopić. A co do za-

wodów, nie rozumiem, czemu zawód porządnego gospodarza, nie miałby być tak uczciwy, jak młynarza. Sądzę, iż jest nawet uczciwszy. Ci sami, którzy dawniej wołali na mnie "Szymek," albo "Siwek," bom był zawsze okurzony, teraz mówią mi "Panie Śladek" albo "Gospodarzu" i poważają mnie więcej, niż dawniej.

ROMAŃSKI. To może dlatego, że teraz spodziewają się poczęstunku za darmo; albo dlatego, że pan się teraz wydaje majątniejszym. Ludzie często kłaniają się bardziej workowi, niż honorowi.

ŚLADEK. To nie z tej racji, ale dlatego, że przyczyniam się do ogólnego dobra Cedrówki.

ROMAŃSKI. W jaki sposób, sądzisz pan, przyczyniasz się do dobra Cedrówki?

ŚLADEK. W różny sposób. Odkąd kupiłem ten dom i ogłosiłem, że otwieram hotel, realność podrożała o całe trzydzieści procent na całej ulicy. Właśnie tylko wczoraj major Hamski, ojciec jednego z moich najlepszych kostumerów, który tam siedzi z panem Zielonką przy stole, powiedział mi, że odkąd wywiesiłem napis "Śladek's Hotel," to jego realność jest warta o całe dziesięć tysięcy dolarów więcej.

ROMAŃSKI. Co to za jeden, ten pan Zielonka?

ŚLADEK. Widzisz pan, ja się nie mieszam do cudzych spraw, i nie wypytyuję moich gości, czem kto jest. On jest widocznie gościem tu w Cedrówce i jakoś lubi u mnie przebywać. Zdaje się, ma dosyć pieniędzy i wcale nie jest skąpy. Powiada, że tu mu klimat lepiej służy, niż tam, gdzie był, i zgodził u mnie stancję na cały rok. Żywo zajmuje się wszystkim, cokolwiek się w mieście dzieje. Dobry sobie człowiek.

ROMAŃSKI. A czem się zajmuje?

ŚLADEK. O tem nie wiem nic więcej, niż o tem, czem pan się zajmuje. Gdym był młynarzem, nikomu się nie pytał, czy kto kupił, wymłócił lub skradł zboże. Mojem zadaniem było zemieć, a nie wypytywać się. Tak i tu: "Pilnuję swojego, nie kozucha cudzego."

PANI ŚLADEK. (*Wchodzi z 1-go pr.*) Mężu, kolacja dla tego pana gotowa.

ŚLADEK. Franek.

FRANEK. Słucham.

ŚLADEK. Wskaż temu panu do jadalni.

FRANEK. (*Wychodzi z za kantoru do 3-go pr.*) Proszę tędy panie, tu tędy! (*wychodzi Franek i Romański*).

ŚLADEK. Żono, ten pan, wydaje się dobrym człowiekiem, tylko ma niektóre, trochę dziwne ideje. Wyobraż sobie, tak się troszczył o Franka, aby się nie rozpił, jak gdyby był jego własnym synem.

PANI ŚLADEK. Widzisz mężu, jeżeli jemu tak o niego chodziło, choć jest zupełnie obcym, jak nie powinniśmy my się tego obawiać, to nasz syn. A nawet i o Kasię się obawiam. Źle będzie z nami wszystkimi. Nie sędzę, że jesteśmy tu tak szczęśliwi, jak na starym młynie. Zdaje się, żeś nawet i ty już się zmienił. Ty udajesz wesołego, ale sędzę, że w sercu czujesz się inaczej. Czy nie myślisz, że zachowanie się i mowa tych pijaków, którzy tu przychodzą, nie odbiją się na naszych dzieciach? Wszak przysłowie mówi, "Z jakim kto przestaje, takim się staje."

ŚLADEK. (*Gniewliwie*) Już znowu zaczynasz. Powiadam ci, już raz idź do tego wodopija Litańskiego i weź dyplom na kaznodziejkę temperenclerską. Tyś gorsza od niego. On tylko raz na tydzień wyzywa szynkarzy, a ty co dzień mi tu bręczysz. Zeszłej niedzieli powiedział, że żaden szynkarz nie będzie zbawiony, bo z grzechu żyją. Co się z wami wszystkimi stało? Czyście już wszyscy naprawdę powarjowali? Ten poła odważył się nawet przed chwilą, tu przed moim domem, przekląć mój interes. Warjat! Dajcie mi wszyscy spokój! Pilnujcie swojego!

PANI ŚLADEK. Przepraszam mężu, nie myślałam cię obrazić, mnie tylko chodzi o dobro naszej rodziny.

ŚLADEK. Ano, dobrze! Nie mówmy już więcej o tem. Idź do kuchni i stawiaj gościom kolację.

PANI ŚLADEK. Ach mężu, my tu nigdy nie będziemy tak szczęśliwi, jak na starym młynie. (*wychodzi w 1-sze pr.*)

ŚLADEK. (*z furią*) “Na starym młynie”! Do diabła ze starym młynem! Co u piekła się dzieje w około mnie? Czy mnie już diabli biorą, czy co?— Trzeba sobie wypić jednego na lepszy humor. (*Nalewa i pije.*)

WITKA. (*Wchodzi z 1-go lew. staje na stronie.*) A byłem pewny, że jeszcze mam nikla w kieszeni, ale nie mogę go znaleźć. Czybym miał dziurę w kieszeni? (*szuka w kieszeniach*) A, jest dziura, którąby i zając przesłoczył. (*maca w nogawkach*) A może one w nogawce. (*siada na podłogę, maca buty, zdejmuje je, wytrząsa, ale nie znajduje*) Nie ma,— nie ma, skarana godzina— o ja nieszczęśliwy! (*zamysła się*) A prawda! toć ja tu byłem dziś rano. (*Siedzi bezradny, medytuje, nagle palcem wskazując na czoło*) Dzień dobry, panie Śladek! Jak idzie interes?

ŚLADEK. Dzień dobry, Wesołku! Co się stało?

WITKA. Nic! musiałem za tą siwą kobyłą gonić, aż mi piasku do buta naszło, musiałem wytrząsnąć. Ażem się zmachał. No, gospodarzu, czybyś nie chciał rzucać w kostki ze mną o dwa łyki?

ŚLADEK. Czemu nie? Proszę!

WITKA. A jak będziemy rzucali, jeden rzut, czy serja?

ŚLADEK. Jeden rzut! Czas drogi.

WITKA. Zgoda! Na moje szczęście! Jestem spragniony, jak kania. Daj kostki! Albo rzuć ty wprzód.

ŚLADEK. (*Rzuca kostki*) Siedmnaście! Dobry rzut!

WITKA. Źle ze mną! Ale, “Fortuna kołem się toczy.” Teraz moja kolejka. Spróbuję, Ot! Dwadzieścia cztery! A widzisz, gospodarzu! Postaw prawdziwej elki.

ŚLADEK. Masz szczęście!

WITKA. Widocznie! Powiadają, że lepiej rodzić się szczęśliwym, niż bogatym, a rodzice moi nic mi nie zostawili. (*Pije*) O, psiamać! To czysty ogień! (*ociera oczu*) aż muszę łzami zalewać. (*sposzrzega Walosia*) Patrzcie, a to tam mój panicz, Waloś. Słuchajno paniczu, czy ty nie idziesz wnet do domu? Ojciec się o ciebie pytał.

WALOŚ. Jeszcze nie, Wesołku, nie potrzebujesz za mną czekać.

WITKA. Dobrze, paniczu. Tak już ciemno na dworze, jak w miechu, więc ja się poczołgam. (*wychodząc w 1-sze lewo i mówi do siebie*) Ja tu jeszcze trochę poczekam. Nie podoba mi się ten facet, który z Walosiem rozmawia, jakoś ma minę wilczą. Będę miał go na oku, a w razie, gdyby chciał co zacząć z Walosiem, to takie mu portki przykraję, że nie będzie dosyć nici w całym powiecie, aby je zeszyć. Chciałbym się z kimś spróbować.

ŚLADEK. No, panowie, czy wypijecie na gospodarza?

ZIELONKA. Ma się rozumieć, że tak! (*idą do kantoru. Wchodzi Morgan z 1-go lew. i przysłuchuje się*) Trzeba przyznać, że Szymon Śladek ma rozum i spryt do swego zawodu. W dziesięciu latach, będzie najbogatszym obywatelom w mieście.

ŚLADEK. Zapominasz o majorze Hamskim, o ojcu tego panicza.

ZIELONKA. Nie, nie zapominam o nim, i nie wykluczam go z porównania, z wszelkim uszanowaniem dla pana Walosia.

MORGAN. (*Stoi przy 1-em lew. przysłuchawszy się tej rozmowie*) Jeżeli on będzie bogatszy, to ktoś będzie uboższy.

ZIELONKA. A jeżeli za dziesięć lat nie będzie najbogatszym w mieście, to przynajmniej będzie miał tę satysfakcję, że przyczynił się do rozwoju Cedrówki.

WALOŚ. A, to prawda. Jakie to tu było dotychczas ciche i zaspale miasteczko! Prostu jak w grobie. Teraz już jest trochę weselej. Można gdzieś wyjść i rozerwać się.

MORGAN. Tak, na kawałki — i zniszczyć się. (*Zielonka i Waloś siadają do stołu, Morgan idzie do kantoru*) A no gospodarzu, nalej mi tam dobrej wódki, a tu jest ostatnia dziesięciocentówka; niech to będzie początek twojej prorokowanej fortuny. To wszystko co mam. Ani centa więcej. Ot, weź ją! Weź ją do tych drugich czte-

rech, które ci już dziś dałem. Byłoby im tęskno za ostatnią towarzyszką. (*daje pieniądze*).

ŚLADEK. Dam ci jeszcze jeden kieliszek, Józefie, ale więcej nie. Już czas, abyś był w domu. Czemu się nie możesz zachować porządnie i wesoło, jak inni goście. (*stawia kieliszek*).

MORGAN. Tyś mi tu dobry, morałki prawić. Masz mój ostatni cent, teraz mię wypędzasz. Patrzcie, jaki to z dawniejszego młynarza "Siwka" kaznodzieja. Doprawdy, był on dobrym młynarzem, — nikt o tem nie wątpił i zdaje się, będzie z niego zdatny szynkarz. Myślałem dawniej, że ma dobre i miękkie serce, ale widocznie, już zaczyna twardnieć, i za dziesięć lat, jeżeli nie będzie twardsze od dawniejszych jego kamieni młyńskich, tom nie prorok. No, nie potrzebujesz się na mnie tak zżymać, Siwku. Przecież jesteście starymi przyjaciółmi, a przecież przyjaciółom przysługuje prawo mówić otwarcie. (*wypija jednym łykiem*).

ŚLADEK. (*Wychodzi z za kantoru, trochę na lewo od środka*) Słuchaj, Józefie, ty wiesz, jeżeliś jeszcze zupełnie zmysłów nie stracił, że w ubiegłych latach, nieraz okazałem ci się szczerym przyjacielem.

MORGAN. To było przedtem, zanim stałeś się szynkarzem. Ty wiesz Szymonie, że mój ojciec miał ten młyn, gdzie jako chłopcy pracowaliśmy razem. Gdy on umarł i mnie go zostawił, tyś służył u mnie. Na ciebiem się spuszczał, tyś miał cały młyn pod mocą. Złe towarzystwo wabiło mnie na rozpustę. Zaniedbywałem interesu; a tyś w chytrności swojej, czatował na każdą sposobność, aby się moim kosztem bogacić. — Czas schodził, a ja, niekontent, że sam w nędzę upadłem, jeschcem wziął towarzyszkę, której także życie zatrąłem. Zadłużyłem się, i ani nie wiem, jak się to stało, ale po dziesięciu latach, już nie był to młyn Józefa Morgana, ale jego "przyjaciela" Szymona Śladka. Tedy czarne chwile nastąpiły dla mojej kochanej żony i dziecka. Ale przez całe życie, choć w najgorszej nędzy, nie była mi ta żona niczem innym, jak szczerą przyjaciółką — prawdziwym aniołem

stróżem; a ja, Józef Morgan, choć upadłem tak nisko, że już jestem prawie w mocy samego szatana, jednak nigdy jej nie uraził, ani jednym przykrem słówkiem. (płacze).

ŚLADEK. No, Józefie, nie mów o tych starych dziejach. "Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr." Może być, że serce mi twardnieje; ale sam słyszałem, jak raz mówiłeś, że mam serce jak baba — miękkie.

MORGAN. Nie potrzebujesz się teraz tego obawiać. Jam już w życiu znał dużo szynkarzy, ale żaden nie cierpiął na to, co ty kiedyś.

JADZIA. (za kulisami 1-sze lewo) Tato! Tato! Czy mój tata jest tu? (wchodzi i biegnie do Morgana) O, tato! Znalazłam tatę! Mama prosi, aby tata przyszedł do domu. (całuje go w rękę).

MORGAN. Jadziu, moja córeczko, moje serduszek! Biedne dziecko! Czarne chmury nad główką twoją! Coś chciała? (całuje ją).

JADZIA. Mama mówi, że tata ma przyjść do domu. Mama tak długo czeka na tatę. Mama tak płacze. Niech tata przyjdzie.

MORGAN. Dobrze, dziecko, pójdziemy. (całuje ją, idzie do 1-go lew. przystaje, patrzy na Śladka) Ograabiłeś mnie z ostatniego centa, Szymonie, ale ten skarb mi jeszcze pozostaje. Bądź zdrów, "przyjacielu," panie Śladku! Pójdź Jadziu, pójdziemy do domu, pójdziemy do mamy. (wychodzą w 1-sze lewo).

ZIELONKA Gospodarzu, gdybym ja był tobą, tobym wyrzucił tego pijaka na łeb, gdyby znowu tu przylaźł. On tu niema roboty. Nie umie się skromnie zachować. Taki jak on, to tylko ci psuje interes.

ŚLADEK. Wolałbym, aby więcej nie przychodził.

ZIELONKA. Jabyłm go wcale nie wpuszczal.

WALOŚ. To łatwiej mówić, niż uczynić. Pan Śladek prowadzi dom otwarty i nie może jednych przyjmować, a drugich odpędzać.

ZIELONKA. Ale tacy, jak on, nie mają tu roboty. To

tylko pijaczyna! Gdybym ja był szynkarzem, tobym mu nie dawał, toby i sam nie przychodził.

WALOŚ. Tobys mógł czynić; ale on by jednak gdzieś dostał, póki by tylko miał cent w kieszeni. On nie jest wcale złym człowiekiem. Ma dobre serce. Prawda, trochę za wiele gada, ale nie można mówić, że jest kłótlwym. Trzeba mieć wzgląd na jego usposobienie.

ZIELONKA. Ja znowu, nie traktuję ludzi według ich usposobienia, ale według ich zachowania się. I, gdybym był panem Śladkiem, tobym wyrzucił go za drzwi, gdyby mi się tu jeszcze raz pokazał. To przebrzydły cham i ladaco!

WALOŚ. Toby nie było po ludzku, (*wstaje i cofa się w lewo*) i gdybym ja tu był, tobys tego nie uczynił.

ZIELONKA. (*także zrywa się*) Co mówisz?

WALOŚ. Chyba słyszałeś! Mówilem wyraźnie.

ZIELONKA. Czy chciałeś mi ubliżyć?

ŚLADEK. Panowie! Panowie!

WALOŚ. Możesz tłumaczyć moje słowa, jak ci się podoba.

ZIELONKA. Mam tylko jedną odpowiedź, dla takich chłystków, jak ty. (*Porywa się na Walosia, szamocą się, rzuca go w kąt na lewo, Witka wbiega, obala Zielonkę w prawo. Tableaux.*)

WITKA. Leż tam, aż zgnijesz. Widzisz Waloś, pilnowałem. (*Zielonka próbuje wstać*) Leż cicho, jak pies. Próbuj no się ruszyć, a dam ci tyle, że popamiętasz Witkę, póki ci pary starczy.

Kurtyna Spada.

AKT II.

SCENA I.

(*Ulica przed karczmą, wchodzi Mitabelka z 1 lew. z listem w ręku.*)

MITABELA. Byłam na poczcie dla pani majorowej Hamskiej, ale zamiast dla niej, sama dostałam list dla siebie. Ktoby też do mnie mógł pisać? Aż się boję go otworzyć, ale muszę. Może to który z tych kawalerów, których wczoraj widziałam przed hotelem. Zobaczymy! (*otwiera list i czyta*) “Do najpiękniejszej panny w Cedrówce. Przypatrzeć się tobie, jest cię pokochać. Czy nie raczyłabyś połączyć losu swojego z moim? Czy nie zgodziłabyś się, opuścić te wiejskie strony i polecieć ze mną het — het w dalekie krainy, gdziebyśmy sami mogli rozkoszować w słodyczach miłości wzajemnej? Proszę o natychmiastową odpowiedź i wyzwolenie mnie z rozpaczliwej niepewności. Twój wielbiciel, H. Z.” A, patrzcie, czy to nie pięknie? Kto wie, czy może jaki bogaty pan nie chce, abym z nim uciekła? A, kto wie, czy będzie! kiedy w nocy nie wykradnie? Zapewno, że tak będzie! Albo może banda zbójców zmusi mnie do ślubu z swym hersztem; — będę musiała to uczynić; — ja wiem, że tak będzie. (*Płacze*) O ja nieszczęśliwa! po co ja też na tym świecie! O dolo, ma dolo!

WITKA. (*Wchodzi 1-go pr.*) A co to? Co pękło, lub się stłukło? Możesz cebulę krajała? Czy ze złości, czy z zazdrości, a może z radości? Czemu kipiysz?

MITABELA. Ach, Samplu Witka, ach, Wesołku!

WITKA. No dalej, co takiego? Wypluj! — prędko!

MITABELA. Ach, Sampelku, Pelku! Czarny rycerz przyjdzie, mnie wykraść i zabrać mnie do swego zaczarowanego zamku . . .

WITKA. Ach, Mitabelko, Tabelko, Belko, Elko! Co ty mówisz? Rycerz? — Czarny? To ja go tak zbiję, że będzie siny. Ja mu dam radę, nie bój się.

MITABELA. Takie będzie miał jasne oczy.

WITKA. Podbiję mu je na czarno.

MITABELA. Z mieczem w rękę . . .

WITKA. Pokażę mu, że Witka mocniejszy.

MITABELA. I zabierze mnie do jaskini . . .

WITKA. A ja się założę z tobą, o tryt, że nie zabierze.

MITABELA. A tam kapłan . . .

WITKA. Słuchajno panno Kołodziejówno, co ty pleciesz?

MITABELA. To przeczytaj to, ty błaznie, i wtedy mów, czy niemam przyczyny się lękać.

WITKA. Co? dostałaś list? Czy kto umarł? (*Czyta*) "Do najpiękniejszej panny w Cedrówce." To przecież nie do ciebie. "Przypatrzeć się tobie, jest cię pokochać." To pięknie ułożył. "Czy nie raczyłabyś połączyć losu swojego z moim." Patrzcie, on ma los — na loteryję. Ciekawym, czy to loterja małżeńska. "Czy zgodziłabyś się, opuścić te wiejskie strony i polecieć ze mną het, het w dalekie krainy?" — (*śpiewa*) "Za Niemen het precz, het precz!" — Gdziebyśmy sami mogli rozkoszować w słodyczach miłości wzajemnej! Proszę o natychmiastową odpowiedź i wyzwolenie mnie z rozpaczliwej niepewności." Patrzcie, bardzo mu się spieszy. "Twój wielbiciel, H. Z." (*Zamyśla się*) H. Z., H. Z., co to znaczy, H. Z.? Helka Żytniówka! Nie, toby musiało być E i Z z kropką. H. Z. — Cholewa Zielona! — No, nie! — Teraz już mam. To nie żaden rycerz czarny; to ten szelma, Harwek Zielonka. Czekajno, ja go wnet wyzwolę, aż się za nim kurzyć będzie.

MITABELA. Nie krzywdź pana Tadeusza.

WITKA. Któż tu u licha mówi o panu Tadeuszu? Ja mówię o tym łotrze Harwym Zielonce.

MITABELA. Niech mu włos z głowy nie spadnie, a będę twoją na zawsze.

WITKA. Tak? Bedziesz moją? Zgoda! Idź teraz do domu, pani majorowa cię chce, masz perki strugać na obiad. Ja sam na ten list odpiszę; nie bój się, na jego skórce mu wypiszę, że nigdy nie zapomni.

MITABELA. Ach, szlachetny rycerzu, dziękuję ci za obronę. Idę! Biegnę! — Adieu! (*Wychodzi w 3-cie prawo*)

WITKA. A poszłabyś z tym głupiem paplaniem. — Z bajek jej się przywidziało. Gdy jej popalę jej żółtą literaturę, to może będzie gadała do rzeczy, jak inni ludzie.

— Waloś zakazał mi tknąć tego łajdaka, Zielonkę, ale jeżeli on mi się tu będzie mieszał do osobistych spraw mego serca, jeżeli mi będzie bałamucił moją Mitkę, to sprawię mu takie lanie, że kości swoje w miechu poniesie. (*Wychodzi w 1-sze lewo. Wchodzi Romański i Ks. Litański z 1-go pr.*)

ROMAŃSKI. Właśnie rok odkąd tu byłem poprzednio. Ież to razy przypominałem sobie Cedrówkę i jej stosunki! A najbardziej byłem ciekawy, jaki skutek wywrze na miasto, ta nowa karczma. Czy jeszcze ją utrzymuje Szymon Śladek?

KS. LITAŃSKI. Tak, jeszcze, i jeżeli pan ma dobry zmysł spostrzegawczy, to dojrzy już ogólnej zmiany na gorsze. Wprawdzie, jest dzisiaj więcej zdecydowanych wstrzeźniwców, — pan ich pozna po złotych odznakach, ale ogół już się strasznie rozpił i zepsuł. Na próżno moje nauki i namowy, prośby i groźby; lud pije i nędznieje. Sam sobie szkodzi, a szynkarz z radości zaciera ręce. Jaki też ten nasz lud nieroztropny!

ROMAŃSKI. To tylko chwilowo, Księżu Dobrodzieju, — to się wyszumuje i ustatkuje. Niechno Ks. Dobrodziej się nie zniechęca, nie zraża się trudnościami. Znam ja inne strony, wiem jak gdzieindziej bywało. Lud z czasem przejrzy i naprawi się.

KS. LITAŃSKI. Prawda, już kilku naprawiło się. Z pijaków najgorszych, stali się ludźmi wzorowymi i czasem, gdy sobie to rozmyślam, to mi się z radości aż płakać chce. Niejeden syn marnotrawny wrócił, niejedna zbłąkana owieczka znalazła się. Tedy mi przychodzi myśl pocieszająca, że jeżeli kiedyś, za grzechy moje, Bóg miałby mnie sądzić surowo, to dusze tych nawróconych wstawią się za mną.

ROMAŃSKI. Ks. Dobr. ma słuszość. Doprawdy, jestto praca czysto chrześcijańska i godna kapłana Chrystusowego. Szkoda, że nie wszyscy kapłani pracują w tym kierunku — Ale tymczasem pożegnaj Ks. Dobrodziej i wstąpię tu dowiedzieć się, jak rzeczy idą, bo bardzo mnie interesuje to wszystko a zwłaszcza ta kłątwa, którą Ks. Dobr. rzucił na tę karczmę, właśnie rok temu.

KS. LITAŃSKI. Właśnie ta klątwa i mnie samego nieraz niepokoi. Jak ona się ziści? Co będzie z tego wszystkiego? Bo znam właściwość słowa kapłańskiego, i wiem, że się kiedyś ziści. Ale poczekamy. Do widzenia, panu! (*wychodzi w 1-sze lewo*).

ROMAŃSKI. (*Ma wchodzić do karczmy, gdy Witka wchodzi z 1-go lew.*) Zobaczymy teraz, jak się powodzi w hotelu.

WITKA. (*Spostrzega Romańskiego--zdziwiony*) "Mowa o wilku, a wilk tu." Dzień dobry, panu! Właśnie o panu myślałam. Bo widzi pan, to tak coś właśnie rok temu, gdym się skrył za szopą, przed ks. proboszczem i pana tu na tem miejscu spotkałem; tak i teraz, właśnie idę sobie i spostrzegam go i kryję się w to samo miejsce, i znowu tu przed hotelem pana spotykam. Czy mi się śni, czym oczarowany?

ROMAŃSKI. To nie sen, ani czary, chyba picie bez miary.

WITKA. Jeszcze nie, ale idę do Śladka, wypić jednego z uciechy.

ROMAŃSKI. Z uciechy? A z czego?

WITKA. A bom sprzał tego powsinogę, Zielonkę, aż miazga pociekła.

ROMAŃSKI. A za co to?

WITKA. Za co? Tymczasem za darmo; na drugi raz dostanie na kredyt, jeżeli się znowu odważy dotknąć mojego panicza, Walosia.

ROMAŃSKI. A kiedy to było?

WITKA. O, to już także blisko rok temu, alem jeszcze nie przestał się cieszyć z tego.

ROMAŃSKI. A gdzie jest teraz ten Zielonka? Pamiętam go.

WITKA. On tu jeszcze obce kąty wyciera i wypija, co najlepszego dla pożądných ludzi stworzone. Ale mam go na oku, i jakem Witka, chciałbym go znowu wytrześć.

ROMAŃSKI. A ty, masz jeszcze te same poglądy o picciu

trunków co dawniej?

WITKA. No, mówiąc prawdę, niepodoba mi się, że Waloś tyle wychyla, bo on nie może tyle znieść co ja. Co do mnie, to ja się czuję lepiej, gdy sobie gruchnę ze cztery czy pięć na dzień. Zresztą, choćby człowiek chciał przestać, to nie może. Czasem Śladek funduje a najczęściej gości, a Śladek każe pić, bo z tego ma zysk. W tych okolicznościach, niema rady. Trzeba pić, póki dają. (*Śpiewa*) "Trzeba pić, trzeba pić, trzeba, trzeba, trzeba pić, trzeba, trzeba, trzeba pić."

ROMAŃSKI. Aleś dopiero wyraził obawę o Walosia, że za wiele pije. Czy nie obawiasz się o siebie samego? Czy nie widzisz, gdzie to się może skończyć.

WITKA. Skończyć? Właśnie boję się, aby to się nie skończyło. Ale, mówiąc na seryo, czasem mnie to jednak zastanawia.

ROMAŃSKI. A czemu tedy się narażasz? Czemu nie unikasz okazji.

WITKA. Jak tu się nie narażać, gdy ci tu ustawicznie pod nos stawiają — za darmo; albo jak tu unikać okazji, gdy tu trzeba co chwilę przychodzić, to na pocztę, to do grosernika, albo rzeźnika, albo nawet do kościoła. Śladek wybrał sobie dobre miejsce, nie ma co mówić. A gdy czasem jadę z majorem Hamskim do Lipkowa, to tam jest cały rząd szynków, ustawionych przed fabryką, jak łapice na szczury. I człowiek musi wejść, choćby nie chciał. Jeden drugiego ciągnie, jedni drugich wpychają.

ROMAŃSKI. A szynkarze z radości klepią się po grubych brzuchach, że głupi ludzie na nich pracują i płacą, i to pieniędzmi, na które tak ciężko pracować muszą.

WITKA. Widzi pan, kiej to smakuje! Naprzykład, gdym wytarosił tego Zielonkę, Śladek namieszał mi takiego ponczu, że aż mi żal było, że nie miałem gardła na łokieć długiego, — tak mi smakowało. Trzeba pić! (*znowu śpiewa, Trzeba pić itd.*) Tylko w miarę!

ROMAŃSKI. Ale przyjacielu, ty jeszcze nie poznajesz niebezpieczeństwa, na jakie się narażasz, pijąc tak regular-

nie, choć wmiarę. Picie, zwane umiarkowane, jest początkiem wszelkiego pijaństwa. A patrz, ile to tego, istna zaraża, i to jest przyczyną wszelkiej nędzy i zbrodni w naszym społeczeństwie. Gdyby nie było picia, nie byłoby potrzeby, ani domów dla ubogich ani kryminalów. Człowiekowi pijącemu potrzeba tylko okazji, a gotów jest popełnić jakąkolwiek zbrodnię, która mu się nadarzy. Gdy Rzymski Stoik, chciał wylać gorycz swych uczuć i napiętnować słusznie sprawcę hańby siostry swojej, to nie nazwał go ani mordercą, ani łotrem, lub wszetecznikiem — nie; całe oburzenie i pogardę swoją wyraził w tem jednym słowie — “Pijak.”

WITKA. Panie! pan mnie zastanawia. Chciałbym do prawdy wiedzieć, czem pan właściwie jest. Pan tak mówi, jak jaki kaznodzieja. Czy pan sądzi, że jabym miał się kiedyś stać pijakiem?

ROMAŃSKI. Radziłbym ci być ostrożnym, tak dla siebie, jak dla twego pracodawcy. Na człowieka pijącego, nie można się zupełnie spokojnie spuścić.

WITKA. Może pan masz prawdę! — Może pan to wie z doświadczenia?

ROMAŃSKI. Tak! Jam dawniej także trochę pił, jak i drudzy. Alem, jakby cudem, przyszedł do przekonania, że mi to na dobre nie wychodziło i dałem spokój, i do prawdy, wstyd mi teraz przyznać się, że m kiedyś sam był tak głupi i tę truciznę połykał.

WITKA. Ale wszyscy nie mogą tak przestać. Zresztą, co jednemu szkodzi, to drugiemu służy. Ja już od lat sobie tutkam, a nikt nie może powiedzieć, żebym ja kiedy w rynsztoku leżał. Mnie matka przecież na tem od piersi odłożyła, jak to panu już mówiłem. Pamiętam, jednego razu, dziaduś Witkowski narzekał na ból żołądka i babusia dała mu kieliszek wódki z pieprzem i malasem. Dziaduś mi potem dał kieliszek wyliznąć, i od tego czasu, często mam ból żołądka, i zawsze tylko tem lekarstwem się leczę i żyję zdrów do dziś dnia. Czasem, to nos wykręci, aż się w oczach zaiskrzy, ale, co tu robić, trzeba pić. “Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na

starość trąci.” Przed nami pili i po nas pić będą.— Ale, ja muszę się spieszyć, tym razem nie wstąpię,— bo wiem, że pan by i tak nie zafundował,— ale, jeżeli ten tchórz, Zielonka, lub jego koledzy, mieliby pana kiedy molestować, to proszę na mnie liczyć; tak go zbiję, że kora z niego opadnie. Do widzenia! (*wychodzi w 1-sze pr.*)

ROMAŃSKI. Jak też to prawdą jest, że ludzie nie przyjmują rad zbawiennych, tylko czekają, aż ich nauczy przykre doświadczenie—po czasie. “Mądry polak po szkodzie.” Zobaczymy teraz, jakie w tym roku zmiany w hotelu.

KURTYNA.

SCENA II.

(*Wnętrze wyszynku Śladka*).

ŚLADEK. (*Za kantorem*) Dziś doprawdy licha idzie, niema ludzi. Czas już, aby ten Waloś Hamski tu był. Chłopak ma pieniądze—ojcu podbiera, a stary nie wie o tem. Trudno mi było pogodzić go z Zielonką. Doprawdy, to uparty chłopak, ten Waloś. Ale ma pieniądze! Sto razy trudniej było go namówić, niż Zielonkę. (*sposzrzega Romańskiego*) Ale, doprawdy, idzie ten pan, co tu był przed rokiem. (*wchodzi Romański z 1-go lew.*) Ha, dzień dobry, panu, już coś rok, jak tu pan był, nieprawda?

ROMAŃSKI. Tak, około tego. Jakże idzie interes, tak jak się pan spodziewał?

ŚLADEK. Lepiej nawet.

ROMAŃSKI. Toś pan kontent z próby?

ŚLADEK. Ba, wiedziałem naprzód, że mi się powiedzie. Nie dostałby mnie nikt na stary młyn, choćby mi go dał za darmo.

ROMAŃSKI. A jak się powodzi obecnemu właścicielowi?

ŚLADEK. Nie bardzo, jak się mu miało powodzić na młynie, skoro nie umiał chyba, ani kawy zemleć na młynku? Ha, ha, ha! Stracił połowę swych odbiorców, w pierwszych trzech miesiącach, potem niezgrabnością swoją

złamał główną oś i naprawiał przez drugie trzy miesiące. Tymczasem reszta klienteli udała się do młyna za rzeką i do niego już nie wrócili, bo tam lepiej mielą. Później, on z rozpaczy się rozchorował i ma podobno sprzedać młyn z wielką stratą.

ROMAŃSKI. A kto kupuje?

ŚLADEK. Major Hamski.

ROMAŃSKI. A co on z nim chce? Chyba wydzierżawić?

ŚLADEK. Nie, on to myśli obrócić na gorzelnię. On ma spryt, zrobi na tem dobry interes. Zboże jest bardzo tanie w tych stronach. Nie umieli ludzie zboża używać, jak tylko na chleb; teraz chyba pójdzie w górę. Teraz rolnicy więcej za nie dostaną i pieniądz będzie do nas przyływał.

ROMAŃSKI. To jest pańskiem twierdzeniem i nie będę się o to z panem spierał.—Ale, major Hamski, czy on nie jest uważany za najbogatszego człowieka w Cedrówce?

ŚLADEK. Tak, nawet w całym powiecie, ma dobrą głowę i umie matątkiem obracać.

ROMAŃSKI. A syn jego, Waloś, jak wychodzi?

ŚLADEK. Dosyć dobrze, zdaje się.

ROMAŃSKI. Ile on tak teraz już może mieć lat?

ŚLADEK. Z dwadzieścia.

ROMAŃSKI. Krytyczny wiek gospodarzu, nieprawda?

ŚLADEK. Tak mówią, — ale ja tego nie doznał.

ROMAŃSKI. W tym wieku musiałeś już pan chyba ciężko pracować.

ŚLADEK. Tak, to prawda! Jako czeladnik w starym kraju, musiałem, od rana do wieczora, miechy dźwigać.

ROMAŃSKI. Kto wie, coby z panem dziś było, gdyby w tym wieku było mu wolno spędzać czas na próżnowaniu!

ŚLADEK. Nie wiem, ale nie widzę, coby miało grozić młodemu Hamskiemu. Ma dobrych rodziców i sam jest dosyć sprytny, aby się strzedz; przytem ma dosyć pieniędzy i każdy go szanuje.

ZIELONKA. (*za kulisami*) Gospodarzu!

ŚLADEK. To Zielonka, mój najlepszy gość, proszę mi wybaczyć.

ROMAŃSKI. Proszę bardzo. A skoro nie mam dziś humoru do gości, to jeżeli mi pan wskaże mój pokój, to udam się na spoczynek.

ŚLADEK. Z przyjemnością, proszę tędy. (*wychodzą w głębi na prawo*)

ZIELONKA. (*Wchodzi z Walosiem z 3-go pr.*) To więc zgoda między nami, nieprawda?

WALOŚ. Tak, ja nie lubię się gniewać z nikim. Wypijemy sobie jednego na tę zgodę. Franek! hej Franek! (*wychodzi Kasia z 1-go pr.*) Staw no nam jednego.

KASIA. Franka nie ma, ja wam usłużę. Czego pozwolicie?

ZIELONKA. A, dobry wieczór, panno Katarzyno! Całuję rączki! Wódki, na początek. (*Zielonka i Waloś siadają przy stoliku*).

WALOŚ. Wiesz Zielonko, jestem okropnie spragniony. Ile myślisz wypróżniliśmy wczoraj szampańskich w czwórkę? Anibyś nie zgadł. Akurat dwa tuziny, jak panowie!

ZIELONKA. Nie może być!— Ale jeźliście zasiedli jak panowie, jak wstaliście? Ha, ha, ha!

WALOŚ. A, to ci się udało! Ale przyznam się, że trochę za głęboko zaczynam zaglądać. Trzeba przestać. Trzeba wstąpić do Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Wczoraj, po piątej butelce, zrobiłem takie postanowienie, ale nie mogłem dotrzymać; ale dziś, to się już odrzeknę. Widzę, że to źle. Tak, Zielonko, odrzekam się!

KASIA. (*zanosi kieliszki do stołu*) Ot! Chłopcy, macie!

WALOŚ. (*do Kasi*) Czy dobra? Spróbuj sama najprzód.

KASIA. (*kosztuje*) Dobra!

WALOŚ. (*bierze kieliszek*) No, Zielonko, na zdrowie Kasi!

ZIELONKA. Co? Przecież dopiero się odrzekł.

WALOŚ. Tak, szampana, ale nie wódki.

ZIELONKA. To na zdrowie! (*piją do Kasi*) Oj! to siarczysta!

PANI ŚLADEK. (*wchodzi kawałek z 1-go pr.*) Kasiu, córko! Chodź tu! Nie powinnaś tu wcale wchodzić.

ŚLADEK. (*wchodzi z 3-go pr.*) Daj jej spokój! Czy jej tu źle? Niech rozweseli gości; częściej przychodzić będą i dłużej się zabawiają.

PANI ŚLADEK. Ach, mężu! Nigdy nie pozwolę, aby ona ci tu miała służyć na wabika do szynku. Co ludzie na to powiedzą? Pójdź do kuchni, Kasiu. Tu nie miejsce na porządną dziewicę. Pójdź! (*wypędza ją w 1-sze prawo. Wchodzi Franek z 1-go lew. i idzie za kantor*).

ŚLADEK. (*do siebie*) A też to jednak skaranie z tą babą! To chyba ten Litański tak ją nauczył, aby mi ujmować interesu. Niech ich djabli! (*wychodzi za Panią Śladek*.)

ZIELONKA. (*do Franka*) Wiesz co Franek? Piękna dziewczucha, ta twoja siostra.

FRANEK. To prawda!

ZIELONKA. Musisz jej wyszukać dobrego kawalera; a możeby ona mnie wzięła.

FRANEK. Nie wiem, możesz się jej zapytać.

ZIELONKA. Spytałbym się, ale się boję matki.

FRANEK. Nie ma to jak próba. "Pieczone gołąbki, same nie przychodzą do gąbki."

ZIELONKA. A, to z ciebie zuch, Franek, nie wiedziałem, żeś taki chwacki. Będę musiał ojcu powiedzieć, aby cię nie wypuszczał nocami; trzeba cię krócej trzymać.

FRANEK. Nie bój się, dam sobie radę.

ZIELONKA. Widać, aleś na to jeszcze za młody. (*Waloś i Zielonka grają dalej w karty*).

MORGAN. (*wchodzi z 1-go lew.*) Ot, i znowu tu jestem. Wbrew moim postanowieniom, znowu tu wlałem do tej nory piekielnej. Już chyba niema dla mnie rady. Każdy cent, co do ręki dostanę, tylko mnie bardziej ciągnie

tu, gdzie go wymieniam na truciznę, która mi odbiera pamięć nędznego domu mego, mej kochanej towarzyszki i nieszczęśliwego dziecka naszego. — Słuchaj, Franek, daj mi wódki. — A tu, — tu masz dziesięć centów. — Weź je!

FRANEK. Ojciec mi nie kazał dawać wam więcej, jeżeli nie będziecie cicho.

MORGAN. No, już będę cicho. Daj! Nie będę przeszkadzał tym PANOM tam. Daj mi kieliszek. Usiądę sobie tu osobno. (*siada przy stoliku po lewej stronie*) Tak, tak! Tak to zawsze bywa. Niechno kto raz upadnie, wszystko jedno, gdzie, kiedy lub jak, wszyscy się od niego odwracają i choćby się chciał na nowo wygramolić i na nogi postawić, wszyscy go bardziej spychają i depcą. Wszyscy stronią od niego i nim pogardzają, nawet te psie . . . , szynkarze, gdy już człowiek nie ma centa przy duszy; skoro może słówko pociechy i zachęty, wyrwałoby go z tej piekielnej toni; i pijak zdycha, jak pies pod płotem. — Nie, nie wszyscy! — Wczoraj mówił do mnie ks. Litański, tak po ojcowsku, abym przyszedł do niego i odrzekł się, a jam się rozgniewał i ubliżył mu. Ach, jaki też ze mnie niecnota! Zasmucił się biedak i powiedział mi, że modli się za mnie i że ja kiedyś do niego przyjdę, a jam go wyśmiał. “Boże bądź miłościw mnie grzeszemu!” O ja nieszczęśliwy!

FRANEK. Waloś, zapomniałem ci powiedzieć, że twój ojciec cię tu szukał przed chwilą.

WALOŚ. Tak? Niech się stary nie troszczy o mnie, umiem się znaleźć. Grailiśmy sobie małego pokierka z Zielonką w tego stancyi. — Nie było szulerstwa.

MORGAN. Nie było szulerstwa! Przecież, że nie! Nie ma obawy! Nie, nie! Tylko kieliszek wina i talja kart; ale na tem nie koniec, i twój ojciec dobrze wie o tem.

WALOŚ. Może być! I nieraz już mnie ostrzegał, abym nie grał, ale sądzę, że już umiem sobie sam dać radę.

MORGAN. Tak i ja kiedyś myślałem, ale masz dobrego ojca; on zna się na pokusach tej przekłętej nory tu; on sam już miał gorzkie doświadczenia.

WALOŚ. Podobno, ale nie widzę, żeby mu to wcale zaszkodziło. Gdy się wyszumiał, stał się porządnym człowiekiem. Niech teraz pozwoli i mnie się wyhulać. “Trzeba użyć świata, póki służą lata.” Doprawdy, gdybym go był tu zastał, tobym mu powiedział, że ma siebie samego pilnować, a nie troszczyć się o mnie.

ZIELONKA. Oj, to z ciebie zuch, Waloś! I dobrze byś mu powiedział. (*Franek wychodzi w głębi na prawo a stąd wchodzi Śladek*).

ŚLADEK. Dobry wieczór, panowie! Pięknie się bawicie! Po przyjacielsku! (*Spostrzega Morgana*) Józefie, co u licha ciebie tu znowu przyniosło, aby nam spokój zakłócać?

MORGAN. O, tak! Ja wiem, że nie jestem już pożądanym gościem:— nie mam pieniędzy. Goły jak smyk, nie podobam się spańszczonemu młynarzowi, — a, mocno przepraszam, — gospodarzowi. Siwek już się wstydzi swego dawnego kolegi.

ŚLADEK. Przecz mi stąd Józefie, nie pozwolę ci tu już więcej tak mi ubliżać. Za drzwiami, i nie pokazuj mi się tu więcej; nie chcę tu takich włóczęgów jak ty. Jeżeli nie możesz się tu zachować przyzwoicie i uczciwie, to nie wchodzi tu wcale.

MORGAN. Co? Ty? Ty pleciesz o przyzwoitości i uczciwości? Przyzwoitości szynkarza — uczciwości truciciela! O faryzeuszu! Tyś kiedyś był przyzwoitym i uczciwym człowiekiem, a do tego i dobrym młynarzem, ale to już dawno temu. Przyzwoitość w tobie wymarła, gdyś wymienił szufel i miech na szklanę i butelkę. Przyzwoitość! Uczciwość! — Gadasz jak błazen obłudny; jak gdyby było mniej przyzwoicie, pić tę lurę, niż ją sprzedawać. Ha, ha, ha!

ŚLADEK. Dostyc tego, umykaj mi stąd!

MORGAN. Nie pójdę!

ŚLADEK. Nie pójdziesz? Ty psia . . . ! To cię wyniesie! (*Rzuca w niego butelkę*) Masz! (*Morgan się uchyła, butelka mija go i niby trafia Jadzię za drzwiami*).

mi. Jadzia krzyczy i wbiega z 1-go lew. z okrwawionym czołem, pada na środku, wszyscy się zrywają)

JADZIA. *(Krzyczy)* O! i! i! Tato! Tato! — Oni — mnie — zabili. *(mdleje)*

PANI ŚLADEK. *(Wchodzi z 1-go pr.)* To Jadzia Morgan. Szymonie! Szymonie! Czy już do tego doszło? Kto ją uderzył?

MORGAN. Kto? Ten łotr, Szymon Śladek! Zbójcu, twój zawód szynkarza wnet się skończy! Tu przy trupie mego dziecka zamordowanego, przysięgam, że zginiesz jak pies, marnie. *(Muzyka gra piano, Morgan rzuca się na Śladka, walczą, rzuca go w głąb na prawo, chwytą stołką aby uderzyć Śladka. Waloś i Zielonka ratują).*

KURTYNA.

AKT III.

SCENA I.

(Krajobraz)

WITKA. *(Wchodzi z 1go lew.)* Już wszędzie przesukałem za tym Walosiem a nie mogę go znaleźć. Gdzieby on mógł być? Chyba u Śladka z tym śmierduchem, Zielonką. Żeby się też tej pijawki raz pozbył. Ciągłe mu się ten łotr przylizuje, a Waloś płaci. To chytry lis, a Waloś się na nim nie poznaje. Gdybym go raz mógł w swoje ręce dostać, tobym go ze skóry obdarł. Niech się no on strzeże! Raz mu dałem, a drugi raz, to kości w miechu do domu poniesie. To łotr bez charakteru! *(bojaźliwie)* Ale, — zdaje mi się, — że — on idzie. Tak, to on! *(odważnie)* On mi musi powiedzieć, gdzie jest Waloś, inaczej, pozna co to Witka. *(Zielonka wchodzi z 1-go pr.)* A no dokąd ci tak spieszenie, chcesz cienia swego dogonić? To stań! — Chcę z tobą mówić.

ZIELONKA. Szkoda czasu z błaznami rozprawiać,

WITKA. Patrzcie, Salomona! No, skoroś taki mądry, to powiedz mi gdzie jest Waloś.

ZIELONKA. Czy ja wiem? Co mnie do Walosia?

WITKA. Patrzcie, jaki to hardy, parska jak kot na psa.

ZIELONKA. A toś się dobrze nazwał; masz dobry węch, to śledź go sam, a mnie daj spokój, mam sprawunki.

WITKA. Co? Ty masz sprawunki? Myślałem żeś już dawno ze sprawunków zrezygnował i podjął się zawodu złodziejstwa na własną rękę.

ZIELONKA. Jeno nie wywołuj wilka z lasu, bo cię pożre.

WITKA. Patrzcie go! Z kota już wilk, za chwilę będzie niedźwiedziem a potem, chyba słońiem. No, nie nadymaj się tak, bo cię żgnę i pęknieś.

ZIELONKA. A, wsadziłbyś, sobie kaganiec na pysk i nie-szczekał tak! Ale wolno psu szczekać i na pana. Namknij się!

WITKA. Na pana? Doskonały z ciebie pan! Mój stary wuj, Krzesiok, powiada, że "pan," to człowiek, który ma pieniądze, rozum i wychowanie, a ty niemasz ani jednego ani drugiego ani trzeciego. No, powiedz mi, pocóżeś tam pisał ten list do mojej panny, Mitabeli?

ZIELONKA. Nie pisałem żadnego listu do niej.

WITKA. Tak, tyś pisał i pisałeś jej, że masz jakiś los na loterję, którym chcesz się z nią podzielić. Czy nie dałbyś mnie połowy?

ZIELONKA. Głupiś, wiesz że gdzieś dzwonią, ale nie wiesz w którym kościele.

WITKA. No, a teraz powiedz mi, gdzie jest Wajoś.

ZIELONKA. Powiedziałem ci, że nie wiem. Nie widziałem go cały dzień.

WITKA. To nie prawda, to kłamstwo!

ZIELONKA. Co? Ty mnie nazywasz kłamcą?

WITKA. Toć słyszałeś! Jestem pewny, żeś go widział niedawno temu. Jeżeli nie chcesz się narazić na nieprzyjemności, to przynajmniej raz w życiu, powiedz prawdę.

ZIELONKA. Ja ci powiem jeno to, że jeżeli ty nie odczepisz się odemnie, to (*przechodzi na lewo*) pożałujesz!

WITKA. Słyszę, że tak prorokujesz, a ja ci powiadam, że nie wiem, czy ty wierzysz w piekło czy nie, ale ja wierzę i jestem przekonany, że jeżeli ten z rogami nie przygotuje najcieplejszego kącika dla takich jak ty, to bardzo zaniedba swojego zadania.

ZIELONKA. Ostrzegam cię, abyś sobie na takie żarty ze mną nie pozwalał i abyś mi, od tego czasu, w drogę nie wchodził, bo cię jednym kichnięciem powalę i napluję na cię, jako na podlinę poniżej pogardy porządnego człowieka. Słyszysz? (*wychodzi w głąb na lewo.*)

WITKA. Skończyłeś? To się obliźnij, boś się już popluł. Lepiej byś sobie sprawił spluwaczkę, ale tak dużą, żebyś cały w nią wlał, jako przestroga dla żujących tabakę. — Chciałbym wiedzieć, gdzie jest Waloś, muszę go odszukać. — Zielonka się frasuje o swoją przyszłość. Gdybym umiał telegrafować, tobym posłał depeszę do jego najlepszego kolegi w piekle i zamówił mu Madejowe łóże, aby było gotowe na jego przyjęcie, gdy go tam kiedyś wykspeduję! Niech się strzeże! (*wychodzi w 1-sze pr.*)

SCENA II.

(*Dom Morgana. Scena przedstawia starą kuchnię. W głębi na środku kanapa z kołdrami, ołtarzyk, na prawo stół, na stole filiżanka, na lewo krzesło i mały stołeczek przy kanapie. Pani Morgan wstrzymuje męża aby nie wychodził.*)

PANI MORGAN. Nie wychodź dzisiaj, mężu, proszę cię, Józefie.

JADZIA. Tato! Tato! Niech tata dziś Jadzi i mamy nie opuszcza. Jabym dziś nie mogła iść po tatę.

MORGAN. Dobrze, dziecko, już nie pójde.

JADZIA. Niech tata tu przyjdzie i usiądzie przy Jadzi.

MORGAN. Dobrze, Jadziu, jestem tu.

JADZIA. Tak, tato, mnie to cieszy, że tata dzisiaj nie pójdzie.

PANI MORGAN. Masz gorące rączki. Czy cię główka jeszcze boli?

JADZIA. Trochę jeszcze, ale wnet będzie mi lepiej. Ta.

to kochany!

MORGAN. Co takiego moje dziecię?

JADZIA. Mam mocną prośbę do taty,

MORGAN. Mów, serduszek, tata zrobi wszystko! Czego
pragniesz!

JADZIA. Niech tatę wprzód pocałuję. (*Całuje go w rękę, a on ją w usta, ona bierze go za szyję obiema rękoma*) Niech mi tata, przyrzecze, że już więcej nie pójdzie do Śladka.

MORGAN. (*Uwalnia się od niej, z żałością i niechętnie*) Dziś już tam nie pójdę, bądź spokojna. Doktor mówił, że musisz cicho leżeć. Śpij teraz.

JADZIA. Dziękuję tacie! Ja wnet wyzdrowieję. Doktor mówił, że poleżę dwa lub trzy dni.

PANI MORGAN. Tak, córeczko, to na to, abyś gorączki nie dostała Józefie, czy nie cieszysz się w duszy, żeś przyrzekł to Jadzi? Jestem pewna, że tak.

MORGAN. Tak Franiu, ale jestem już złamany, tak na duchu jak fizycznie. Jak tu przy niej stoję, to każdej chwili mi się zdaje, że mnie rozum opuszcza; Ledwie pięć godzin jak wypilem ostatni kieliszek, a zdaje mi się, jak gdyby to było, już pięć dni. Ja bez tego żyć nie mogę! Idź, przynieś mi trochę!

PANI MORGAN. Ach, mężu, chyba niechcesz aby noga twojej żony wstąpiła do tej brzydkiej nory.

MORGAN. Nie, Franiu, to nie miejsce na porządną niewiastę. Zawołaj kogo innego, ja muszę mieć wódki, bo umrę.

PANI MORGAN. Tu, Józiu, weź to, to czarna kawa, to ci odtrąci pragnienie. Ja bym nie odważyła się dać ci wódki, nawet choćbyś — umierał. (*Daje mu filiżankę, on bierze drżącą ręką i pije duszkiem.*)

MORGAN. Bóg ci zapłać, kochana! Ach, Franiu, jakim ja się już stał niewolnikiem tego nałogu. Wybacz mi, nie dziwiłbym się, gdybyś mnie na zawsze opuściła, abym sam zmarniał pod płotem.

PANI MORGAN. Co? Opuścić ciebie? Nigdy, Józefie! Wszak ci przed ołtarzem ślubowałam dozągodną wierność, a chociaż odstęczyłeś mi krewnych i przyjaciół i ściągnęłaś na się pogardę świata, stałeś się przedmiotem politowania dobrych a pośmiewiska złych, jednak cię nie opuszczę. Żoną twoją jestem i żoną twoją pozostanę do śmierci, choć stałam się żoną. . . .

MORGAN. Pijaka! Tak! Mów otwarcie, Franiu, boć prawda.

PANI MORGAN. Wyobraź sobie, mężu, jak mnie to martwiło, gdyś się coraz bardziej zanurzał w tym nałogu. Kiedyś tak wysoko stałeś i byłeś w poszanowaniu u wszystkich, ale ten nałóg, powoli i nieznacznie, ściągał cię, dzień za dniem, aż stałeś się wyrzutkiem społeczeństwa. Któżby to był przypuszczał, że ten bystry, pilny i porządny młodzieniec, jakim kiedyś był Józio Morgan, stanie się w kilku latach — *(słychać pukanie, 1-sze lew., ciszej)* Uspokój się, Józefie! *(woła do drzwi)* Proszę!

PANI ŚLADEK. *(Wchodzi z 1-go lew.)* Niech będzie pochwalony! — Jak się masz Franiu? Jak się ma Jadzia?

PANI MORGAN. Boję się, że dziś nie tak dobrze.

PANI ŚLADEK. Czy tak? Jak mnie to martwi! To było okropnie! Tak się przeleżałam, że jeszcze nie przyszedłam zupełnie do siebie.

PANI MORGAN. To ją nieomal zabiło.

PANI ŚLADEK. Aż mi się coś robi, na samą myśl.

JADZIA. Mamo, ja widzę tatę, tam on jest.

PANI MORGAN. Czasem od rozumu odchodzi, mówi w gorączce.

PANI ŚLADEK. Czy doktor był u niej dzisiaj?

PANI MORGAN. Nie, jeszcze nie; nie mam pieniędzy.

PANI ŚLADEK. Powinna mieć doktora, jak najprędzej. Pójdę po niego i przyślę go natychmiast. Uczynię wszystko, co będę mogła. Jeżeli masz jakie inne potrzeby, to proszę jeno mówić. *(Wychodzi kędy weszła)*.

JADZIA. Czy tata nie zapomniał, co mi przyrzekł? Ja jeszcze nie jestem zdrowa. Ach, niech tata — nie — idzie — tam! Ach, tata jednak poszedł! — Mamo, będę musiała znowu iść po tatę. Spróbuję tam — zająć. To tak daleko! Odpocznę sobie po drodze. Ach, jestem tak zmęczona! Tato! Tato! Proszę taty! Ach....

MORGAN. Jestem tu aniołku, nie poszedłem.

JADZIA. A, teraz poznaję. To mój tata! Niech się tata nachyli; ja chcę tacie coś powiedzieć, coby mama — nie słyszała; ona niema tego wiedzieć. — Toby ją zmartwiło.

MORGAN. Co takiego? Powiedz.

JADZIA. Ja już nie wyzdrowieję. Ja — umrę.

PANI MORGAN. Co ona mówi, mężu?

JADZIA. Ci-cho! Niech tata nie powiada. To tylko dla taty. Mama ma dosyć zmartwienia. Ja to tylko tacie powiedziałam, bo tata mi obiecał, że nie pójdzie więcej do Śladka, aż ja wyzdrowieję, a ja nie chcę wyzdrowieć, aby tata już więcej nie poszedł. — Ach, Śladek tak mocno mnie uderzył; — ale to dobrze że taty nie trafił; — toby tatę mocno bolało. Ale tata już tam więcej nie pójdzie! — To tak dobrze będzie, nieprawda, — mamo? (*zaspia*)

PANI MORGAN. Czyś słyszał co ona mówiła, Józefie.

MORGAN. Ona majaczy! — A jednak — może ona mówi prawdę.

PANI MORGAN. Ale gdyby ona miała umrzeć!

MORGAN. Nie mów tego Franiu! Ona nie umrze! Mówi w gorączce!

PANI MORGAN. Tak, ale ta gorączka! Czemu ma gorączkę? Ten cios jej chyba czaszkę nadwerżył. Mam przecucie, że nie przetrzyma. Ach mężu, tyle już wycierpiałam i proszę Boga, abym i ten krzyż z cierpliwością znieść mogła. Lepiej jej będzie tam z Bogiem, niż tu z nami. Ona była dla mnie — i dla ciebie — wielką pociechą. To raczej anioł, niż dziecko. Nie jesteśmy jej godni. Ale, mężu, gdyby doprawdy ona miała umrzeć, chyba byś nigdy nie zapomniał, co ją zabiło i tego, z któ-

rego ręki śmierć poniosła.

MORGAN. Zapomnieć? Nigdy! I niech mnie ręka Boska broni, gdybym miał Szymonowi to darować.

PANI MORGAN. I chyba też nie zapomnisz, gdzie się to stało, -- gdzie krew dziecka twego się rozlała i obietnicę, którą jej na śmiertelnem łóżu zrobiłeś.

MORGAN. (*W obłąkaniu*) Nie, nie, żono, nie, nie! Ach, co mi się dzieje! Ogień mi rozum wypala, Ach, co ja widzę, patrz! patrz! Tam w rogu!

PANI MORGAN. Ach, To znowu napad tego obłąkania! Już trzeci raz. — Tam niema nic, mężu!

MORGAN. A ja ci powiadam, że tam jest. Ja przecież mam oczy, tak dobrze jak ty. Patrz! — Jaka to duża żmija! Patrzy na mnie! Idzie! Precz! Precz! Ratuj! Odpądz ją! Prędko! Prędko!

PANI MORGAN. To ci się tylko tak zdaje, Józefie. Tu nic niema! Połóż się i odpocznij trochę. Nie spałeś już dwie noce. Przyniosę ci czarnej kawy, to ci nerwy uspokoi. Zaraz wrócę. (*Wychodzi na 1-sze pra.*)

MORGAN. Tam! Patrz! Widzisz! Niechodź! Pójdź tu! — Ha!!! Po mnieście przyszli? — Macie mnie! Pójdźcie teraz! Cieszycie się, że nadeszła ostatnia godzina. Przysłiście po duszę pijaka, he? -- Idą! Biorą mnie! Już mnie mają! Ratuj! Odpądz ich! Ó!! (*biega, szuka kryjówki, rzuca się za kanapę Jadzi. Wchodzi pani Morgan z filiżanką*)

PANI MORGAN. Niema go! Gdzie poszedł? Mężu! Józefie! Gdzieś jest?

JADZIA. On jest tutaj mamó.

MORGAN. Odbądz ich! Odpądz! Jadziu, nie wpuść ich tu! Patrz! Tam! Po ziemi się tu czołgają! Prędko, Jadziu, wstań! Odpądz ich! Tu! — Patrz! Tu nad głową!

JADZIA. Tu się tacie nic stać nie może.

MORGAN. Nie! Nie! To prawda Jadziu! Módl się za mnie, dziecko. Oni tu nie mogą wejść, bo to twój pokój.

Tak to jest Jadzi pokoik, aniołka mego, gdzie ma swój ołtarzyk. Ha! Ha! Widzicie, wiedziałem gdzie się skryć. Tu nie możecie wejść. Odpądź ich! Nie wpuszczaj! Ha! Ha! Ha! (*Pani Morgan klęczy przy nim, Jadzia usiadła na Kanapie ze złożonymi rękoma, modli się. Muzyka przygrywa piano.*)

KURTYNA WOLNO SPADA.

AKT IV.

SCENA I.

(*Wnętrze wyszynku Śladka*)

ŚLADEK. (*Wchodzi z 1-go pr.*) Piekielne mam ja w ostatnich czasach szczęście, a raczej nieszczęście. Tak to zawsze bywa. Gdy człowiek się najbardziej stara, aby na życie uczciwie zarobić, zawsze djabli coś nastroją, że wszystko się psuje. Do kaduka z taką robotą! Czy może to ta klątwa tego poły? Niech go djabli! Trzeba go zniszczyć, wypędzić! Dopóki on tu będzie, to nam się powodzić nie będzie. Jego Towarzystwo Wstrzemięźliwości z każdym miesiącem rośnie. Młodych wstrzymuje od picia, a starzy umierają. Wnet nie będzie kostumerów. Czy on się wciekł, czy zwarzował? Patrzenie, jaki to święty! Nie pozwala ani pić, ani palić, ani tańczyć. Broń Boże, żeby która dziewczyna na taniec poszła. Powiada, że chce naród odnowić. Ojcowie nasi pili i było dobrze. Nasi synowie pić będą i też będzie dobrze. Co on sobie myśli? Czy już wcale ludzie nie mają mieć żadnej uciechy? Niech on patrzy swego kościoła a nie psuje interesu poczciwych ludzi. Doprawdy, trzeba go wszelkimi sposobami zniszczyć, wypędzić. Doprawdy, muszę no zacząć. Kilka sądków za darmo wyczęstuję, to wnet chłopów dostanę na moją stronę i rozprawimy się z nim krótko. Niech mnie djabli żywcem wezmą, jeżeli tak nie będzie! Zobaczymy co mocniejsze, czy jego klątwy, czy moje sądky.

ZIELONKA. (*Wchodzi z 3 pr., bez surduta i kapelusza*) Dobry wieczór, gospodarzu! Jak się macie? Zapewne

wesoło i kontent jak zawsze, nie prawda? A ten łązęga, Morgan, jeszcze tu nie przylazł?

ŚLADEK. Nie, i jeżeliby się chciał zgodzić, więcej się tu nie pokazywać, tobym mu podarował tę moją łysą kobylę, aby go jak najprędzej poniosła do piekła, na złamanie karku. Już mi tu dosyć namarudził, tak że go tu więcej nie wpuszczę. Ani kropelki więcej nie dostanie. Interes mi tylko psuje. Gości odstręcza swoim marudzeniem. Wczorajszy wypadek mnie zdecydował. Coby to było, gdybym ją był zabił?

ZIELONKA. Miałyś kłopoty nie małe, to prawda.

ŚLADEK. Ma się rozumieć! Niech ją tam piorun trzaśnie! Po co tu łązi co wieczór?

ZIELONKA. To też prawda! Co to za matka, tak dziecko puszczać?

ŚLADEK. Nie wiem, jaka jest teraz, — chyba w rozpaczę z tym pijakiem — ale pamiętam, gdy była panną, nie było porządniejszej dziewicy w całej Cedrówce. Bystra, pracowita i pobożna. Każdy ją szanował. Jak ten łądak ją dostał, — nie wiem. Co to za życie ona z nim ma!

ZIELONKA. Lepiej żeby zdechł i namknął się porządnym ludziom z oczu.

ŚLADEK. Tak! Tysiąc razy lepiej! Byłoby lepiej i dla jego familji, gdyby raz gdzie w rowie kark skręcił.

ZIELONKA. I dla ciebie także.

ŚLADEK. Bądź pewny, że nie traciłbym wiele na żalobę po nim. Ha, ha, ha! (*Wchodzi Franek z 1-go lew., wystrojony jako myśliwy, z fuzją w rękę i palący papierosa*) Gdzieś ty był tak długo, hultaju? Gdzie matka?

FRANEK. (*Niedbale i zuchwale*) Nie wiem. Może gdzie wyszła.

ŚLADEK. A dokąd?

FRANEK. Nie wiem!

ŚLADEK. Kiedy wyszła?

FRANEK. Powiadam, że nie wiem! Byłem na polowaniu z Tomaszem Wilkiem i nie widziałem jej od samego rana.

ŚLADEK. Czy nie mówiła, gdzie idzie?

FRANEK. Nie! Nie mówiła, anim się też jej nie pytał.

ŚLADEK. Tak? Słuchajno chłopaku, troszeczkę już sobie za wiele pozwalasz! Jesteś jeszcze za smarkaty, abyś mi się miał tak odszczekiwać. Idź, uskromnij za kantorem, goście wnet przyjdą.

FRANEK. A stul pysk, albo rób sobie sam. (*Idzie za kantor i pije z Zielonką*) Matka idzie, (*poczem Franek wychodzi w 3-cie pra., a Zielonka siada do stolika i gra w solitaire*).

ŚLADEK. (*Wchodzi pani Śladek*) Gdzieś ty była tak długo?

PANI ŚLADEK. Gdzie życzyłabym sobie, abyś i ty był.

ŚLADEK. A to gdzie?

PANI ŚLADEK. U Morganów.

ŚLADEK. A poco cię tam djabli zanieśli?

PANI ŚLADEK. Ach, Szymonie, jeżeli ty nie będziesz miał krwi tego dziecka na sumieniu, to będzie twoje szczęście.

ŚLADEK. Co to znaczy?

PANI ŚLADEK. Znaczy to to, co te słowa wyrażają. Jazdia jest bardzo chora, doktor powiada, że jej grozi wielkie niebezpieczeństwo. Ach, mężu, gdybyś ty słyszał to co ja słyszałam: Jak ona z żalością o tobie mówiła, jakiś ty był dla niej dobry, gdyśmy jeszcze byli na starym młynie, jak ją brałeś na kolana, główkę jej pogłaskał i pocałował ją. — Nigdy nie zapomnę jej twarzyczki, bladej od strachu, gdy mówiła o wczorajszym zdarzeniu. Ach, Szymonie, gdyby ona miała umrzeć!

ŚLADEK. Umrzeć? Kto to mówi?

PANI ŚLADEK. Tak, prawdopodobnie umrze. Ks. Proboszcz był u niej z Panem Jezusem.

ŚLADEK. Ten smok? On ją chyba przestraszył na śmierć i z tego umrze. Że on mi się też tu wszędzie miesza!

PANI ŚLADEK. Ach, nie, mężu! On jest surowy dla niepoprawnych i zuchwałych tylko, ale dla dobrych jest aż

nader grzecznym. Nie cierpi on pijaństwa i szynków, ale dla nieszczęśliwych ma czule i ojcowskie serce. Aż płakał nad małą Jadzią. Coś mówił, że tobie odradzał tego interesu, ale żeś go nie chciał słuchać. O, gdybyśmy znowu mogli być napowrót na starym młynie!

ŚLADEK. Już nowu o tem zaczynasz! Już dosyć słuchałem tego gđakania. Ani mi słówka o tem więcej. Tak na mnie ujadasz, jak gdybym już przekroczył wszystkie przykazania, Boskie i kościelne.

PANI ŚLADEK. Przekraczasz także nieraz i prawa cywilne, ale to ci się uda tylko do czasu: "Póty dzban wodę nosi, aż się ucho urwie." Kiedyś przyjdzie kryska na ciebie, a wtedy biada tobie i nam. Lud się kiedyś przebudzi, a wtenczas nie uratuje cię ani sam major Hamski. Ej, Szymonie, na miłość Boską, zastanów się! Patrz, co się z ciebie stało w tak krótkim czasie, odkąd tu jesteśmy! Ileż to złego wyszło z tego wyszynku! Mężów i ojców rozpajasz i żony i dzieci cię przeklinają. Młodzież psujesz i będą cię przeklinały przyszłe pokolenia. I hańbę ściągasz na Kościół Chrystusowy. Poganie mówią, że Katołicy, to pijacy. Rozważ sobie to dobrze i wróćmy do dawnego naszego zawodu, zanim będzie zapóźno. Będę pracowała dzień i noc, aby się nam powodziło. Wołałabym raz na dzień jeść, chlebem i wodą się karmić, gdybym cię mogła oglądać, raz jeszcze, porządny człowiekiem. (*wychodzi w 1-sze pr.*)

ŚLADEK. Co się, u djabła, wszystkim stało? Czy się im wszystkim w głowach poprzewracało? Každy mi kazania prawi, choć i do kościoła nie chodzę. Nawet baby za Litańskim pacierz powtarzają. Gdym był na "starym młynie," narzekała, że za ciężko pracowałem; teraz chce, abym napowrót do tej pracy się zaprzął. Czy też skaramie, czy co? Nigdy nie można dogodzić. Ale u baby, to długie włosy a krótki rozum. — Ja jestem gospodarzem, nie ona, ani ten Litański. Poprowadzę mój interes tak, jak mnie się podoba, a oni niech idą do piekła, bo im sprawię tak, jak temu kurczęciu tego pijaka.

WALOŚ. (*wchodzi z 1-go lew.*) Dobry wieczór, gospo-

darzu! Nie ma nikogo? A, tam jest Zielonka! Jak się masz?

WITKA. (*Za kulisami*) On tu musi być, a jeżeli nie, to ja tu będę. Będzie wiedział gdzie mnie szukać. (*wchodzi Witka z 1-go lew. podchmielony*) Dobry wieczór, gospodarzu!

WALOŚ. (*Do Witki*) Gdzie ty łazisz, tak późno, Wesołku? Powinieneś być w łóżku.

WITKA. A toć ciebie szukam i szukam i nie mogłem znaleźć. Wszak major kazał mi cię pilnować. Tyś jest w mojej opiece. (*Chwieje się po pijanemu*)

WALOŚ. Już ja sobie dam radę. Możesz iść do domu. Ja jeszcze nie pójde. Ale czemu ty nie stoisz prosto?

WITKA. Jestem zmęczony -- ledwie stać mogę.

WALOŚ. No, pójdz tu, tu jest Zielonka. Ja wiem, że wy się ze sobą nie zgadzacie, ale proszę sobie podać ręce. Bądźmy wszyscy przyjaciółmi.

WITKA. Słuchaj, Zielonka, daruję ci wszystkie komplimenta jakimiś mnie obdarzył, przy ostatnim naszym; spotkaniu, bo podobno sprzedałeś majorowi tego karego wyścigowca, bardzo tanio.

WALOŚ. Gospodarzu, czyś słyszał, że ten z różkami przyszedł już po jednego z twoich kostumerów?

WITKA. Tak, ten z różkami, kopytami, ogonem i wszystkim.

ŚLADEK. Po którego?

WALOŚ. Po Józefa Morgana. Już drugi czy trzeci raz on go kiedyś dostanie.

WITKA. On może dostanie Morgana, ale ja myślę, że ja bym mógł go wyścignąć i uciec.

ZIELONKA. Nie bądź taki pewny siebie!

WITKA. Czy ja do ciebie mówię? (*Zatacza się do Zielonki*)

WALOŚ. Sampel! -- Pamiętaj, że jesteśmy wszyscy przyjaciółmi.

WITKA. Dobrze, Waloś, -- zapomniałem. (*Zatacza się w swoje miejsce*)

WALOŚ. Słyszysz, Szymku? Miałeś fatalne szczęście wczoraj. Powiadają, że to dziewczę umrze.

ŚLADEK. (*Niespokojnie*) Kto to mówił?

WALOŚ. Doktor Zieliński.

ŚLADEK. (*Z udanym uśmiechem*) Ten konował? Chyba żartował; co on tam wie?

WALOŚ. Nie, na serjo. Tam BYŁO wczoraj u Morgańców. Józefa podobno djabli brali, a dziecko też od rozumu odchodziło.

WITKA. Szkoda Józefa. Doprawdy że mi go żal.

ZIELONKA. Niema co się litować nad starym pijakiem, ale nad jego rodziną.

WITKA. (*Zatacza się znowu do Zielonki*) Do kata z twoją litością! Ty nawet nie wiesz, co to jest litość.

WALOŚ. Sempel!

WITKA. Dobrze, Waloś! Słucham! Dam mu naukę litości kiedyindziej. (*Wraca na miejsce*)

WALOŚ. Słyszałem pewne uwagi, w biurze adwokata Filipskiego, że, jeżeli to dziewczę umrze, to będziesz musiał odpowiadać za mężobójstwo.

ZIELONKA. Nieprawda, chyba za dzieciobójstwo! Ha! Ha!

WITKA. (*Zatacza się do Ziolonki*) Ty stul pysk; ty błaźnie, bo ci go zamaluję.

WALOŚ. Sempel! Sempel! Wesółku!

WITKA. Dobrze paniczu! (*Wraca grożąc Zielonce*)

ŚLADEK. To był tylko wypadek, i wszyscy adwokaci w świecie nie mogliby tego inaczej tłumaczyć.

WALOŚ. Niekoniecznie tylko wypadek, bo szanowny gospodarz rzeczywiście rzucił butelkę umyślnie, aby kogoś uderzyć, a prokurator nie będzie zważał na to kogo chciał, ale kogo doprawdy, trafił.

ŚLADEK. Ktoby twierdził, że ja chciałem uderzyć to dziecko, ten kłamie.

WITKA. (*Zataczając się do Śladka*) Co mówisz? Ty

Walosia nazywasz kłamcą? Słuchaj Siwku, mojem zdaniem, rzucanie butelkami jest ostateczną podłością, godną tylko takiego tchórze jak ty, choć to podobno jest twoim ulubionym zwyczajem. Jeno mi się odważ znowu nazwać Walosia, albo mnie, kłamcą, to ci potłuką twoją bańkę, którą kapeluszem nakrywasz, a w której masz sieczkę zamiast mózgu. Słyszysz?

WALOŚ. Cicho, Sampel, nie tak gwałtownie!

WITKA. Cicho? Ja już nie mogę być cicho, gdy on tu wszystkich wyzywa. Pozwól no, a zobaczysz, jak tu będzie cicho, gdy ja tych łajdaków uśpię, jednego po drugim, albo obu razem. (*Podwija rękawy, robi pięście*)

ŚLADEK. (*Przy kantorze*) Pójdźcie panowie, wypijemy sobie jednego --- jesteście przyjaciółmi. "Zgoda buduje, niezgoda rujnuje!" Czego weźmiecie? To na mnie!

WALOŚ. Tak, wypijemy na gospodarza!

WITKA. Wedle rozkazu, paniczu. Trochę mi w gardle sucho, a skoro Śladek chce być naszym przyjacielem, to na jego zdrowie. Jestem spragniony, jak kania deszczu. Trzeba pić! (*Idzie do kantoru. Wszyscy śpiewają "Trzeba pić."*)

ŚLADEK. Na zdrowie, panowie, --- jednym łykiem! (*Wszyscy piją*)

ZIELONKA. A teraz panie Hamski, jeżeli chcesz to możemy skończyć tę partyjkę; jeszcze nie tak późno.

WALOŚ. Dobrze, mamy czas całą noc; dziś sobota, jutro można spać, Śladek, daj karty! (*Siadają do stołu, Ziel. na pr., Wal. na lew. stołu i grają*)

ŚLADEK. (*Do Witki*) Proszę się nie gniewać, nie myślałem obrazić Walosia, to dobry chłopak, szanuję go bardzo. Nalej sobie jeszcze.

WITKA. Naturalnie, ja się nie umiem gniewać. Jestem przecież Wesolek. (*Pije i upaja się*) He! To doprawdy dobra drapicha!

ŚLADEK. Tak, trzymam tylko najlepsze i chcę jak najlepiej każdego ugościć. Ale już miałem dużo przykrości, wedle tych nowych praw przeciw-szynkowych. Gdzie

nasze prawa? Gdzie wolność tu w tym wolnym kraju? Niebawem, zakazą nam tabaki zażyć, lub nos na ulicy wytrzeć. Jeszcze jednego, na zmartwienie!

WITKA. Nie zawadzi! Zalać robaka! (*Piją*) Szymku, z ciebie jednak dobry gospodarz — wiesz jak gości traktować. A co do tych ostrych praw to prawda, człowiek się teraz ledwie może obrócić, by nie zadrzeć z temi nowemi prawami. To ci temprenclerzy, obłudnicy! Na przykład, chcą zamknąć dom dla ubogich i pozbawić staro dozorcy Grzegorza posady, na której tyle lat się utrzymał, jeżeli zwyciężą w tym powiecie przy następnych wyborach.

ŚLADEK. “JEŻELI”! Ale my nie musimy im pozwolić zwyciężyć. Każdy obywatel powinien głosować i wolność zabezpieczyć. Ale cò oni mają przeciw staremu Grzegorzowi?

WITKA. Zgoła nic przeciw niemu osobiście, tylko chcą zamknąć przytułek sam.

ŚLADEK. Co? i wypędzić na ulicę tych ubogich nędzarzy?

WITKA. Nie, nie to! Ale powiadają że nie będzie potrzeba przytułku, bo nie będzie ubogich. — I zdaje mi się, że mają trochę prawdy — bo powiadają, że gdyby nie było picia, to nie byłoby nędzy i ubóstwa. Po prawda! Ale ja jestem za tem, aby ten przytułek był i tak. Widzisz, ja wiem, że ja w tę stronę jadę dosyć szybko i nie chciałbym, aby mnie nie miał przyjąć stary Grzegorz, gdy tam zajadę. Do piekła z temprenclerami! Niech żyją pijacy! Niech żyje partya salonistów! Niech żyje major Hamski. Zawsze będę za jego partyą głosował. Hura! Tu wolny kraj! — Daj wypić na to!

ZIELONKA. To moja pulka.

WALOŚ. Nie, to moja!

ZIELONKA. Oszukujesz, ty złodzieju! (*Wstaje i zagarnia pulkę do kieszeni*)

WALOŚ. (*Także zrywa się z krzesła z gniewem i cofa się groźnie do środka sceny*) Co? Ty mnie złodzie-

jem nazywasz? Mnie? Do któregoś się przyczepił jak pijawka, któregoś ogrywał oszustwem od samego początku. W łeb ci palnąć, aby uwolnić społeczeństwo od obrzydliwego pasożyta. Wszystko ze mnie wyłudziłeś i nauczyłeś mnie ojca okradać, aby tobie płacić. Nie mam już nic do stracenia. Nie śmiem już wracać do domu. Tobie w łeb a sobie potem. (*Waloś wyciąga rewolwer, strzela do Zielonki, chybia. Walczą. Zielonka wyciąga nóż, żga Walosia — ten pada; Zielonka ucieka w 1-sze lew. Śladek wybiega do Walosia a Witka wciska kapelusz na głowę i wytacza się za Zielonką.*)

KURTYNA.

SCENA II.

(*Krajobraz — las.*)

ZIELONKA. (*wbiega prędko z 1-go pr.*) Co robić? Niepodobna uciec. Już są na tropie. Gdybym tylko raz mógł się ztąd wymknąć, tobym więcej tu nie wracał. Głupiec ze mnie! Czemu się nie skontrolowałem? Miałem już wszystkie jęgo pieniądze i pocóż mi go było napadać?

WITKA. (*za kulisami*) Gdzie jest ten zbójca? Widziałem, że tu leciał. Pójdę za nim, aż go dostanę. Raz nazwał mnie psem; ja go wytropię.

ZIELONKA. A! ktoś idzie, muszę się skryć. (*kryje się za kłodę.*)

WITKA. (*wtacza się z 1-go pr. i pada*) Zdaje mi się, że ostatecznie tu jestem. Wiedziałem, że gdzieś się zatrzymam i zatrzymałem się tu. Głowa mi bębni, jak beczka. Ciekawym, może mi się śni — może ja z łóżka wypadłem. Nie, teraz mi się przypomina: ten truciciel, Szymon, mnie upoił, a ten łotr, Zielonka, zabił Walosia. Zabójca! Muszę go odszukać i zatłuc, jak psa wściekłego. (*Próbuje wstać i tacza się*) Niech go tylko dostanę w moje ręce a uduszę go jak gadzinę. (*słyszysz szmer*) Ha, co tu się czołga, — wąż jaki, czy zwierzę?

ZIELONKA. A, znalezione! Zdychaj błaznie! (*spuszcza kurek na próżnym pistolecie.*)

WITKA. Ani myśli, czekaj, aż ci nabiję. (*chwytą go, obala, usiada nań i bije*).

ZIELONKA. Puść mnie, bo pójdziesz za twym panem!

WITKA. Zdaje mi się, że ty go prędzej dopędzisz niż ja. Nadeszła twoja godzina.

ZIELONKA. Puszczaj mnie! — Proszę cię! Dam ci wszystkie pieniądze.

WITKA. Nigdy! Nie puszczę cię, aż cię osadzą w klatkę i klucz oddam szeryfowi. Dawnom na cię czekał i gdybym miał wolę po swojemu, tobym cię tu bez litości uduślił, ale i tak szubienica cię czeka. "Co ma wisieć, nie utonie!" (*Zielonka szamoce się, Witka woła do ludzi za kulisami*) Hej! Hej! Tu! Tutaj! Prędko! Ja go mam! (*Zielonka się szarpie, Witka bije go*) Cicho leż, póki leżysz, później będziesz wierzgał na szubienicy. (*Wbiegają policyjanci i ludzie i zabierają Zielonkę*).

KURTYNA.

SCENA III.

(*Dom Morgana. — Pokoik Jadzi. Morgan śpi na podłodze na prawo od kanapy. Jadzia śpi na kanapie. Pani Morgan czuwa nad nią. Muzyka — Piano*)

PANI MORGAN. Całą noc czuwam nad nimi. Bóg wie, co mnie jeszcze czeka. On mi jest jedyną podporą i Matka Jego Najświętsza. Ach, ratuj nas Boże, ja już dalej nie mogę! Ach, dziecko moje miłe, jak uważałam na każde poruszenie twojej twarzyczki! Co to będzie? Czy obudzisz się jeszcze? (*Całuje ją ostrożnie*).

JADZIA. (*budzi się*) Mamo!

PANI MORGAN. Co córeczko? Dobrześ spała? Przeżegnaj się! (*Zegna ją*) W imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego.

JADZIA. Mamo, czy długo spałam? Czy tata już wstał? Gdzie jest tata?

PANI MORGAN. Tata jeszcze śpi, kochanie.

JADZIA. Niech mama go obudzi, ja chcę go widzieć, ja muszę mu jeszcze coś powiedzieć.

PANI MORGAN. Jeszcze nie córeczko, niech tata jeszcze

trochę śpi. Tata był bardzo chory wczoraj, musiałam mu dać na sen.

JADZIA. On już śpi bardzo długo. (*woła*) Tato!

MORGAN. (*budzi się*) To jej głos! Gdzie jestem!

PANI MORGAN. Byłeś bardzo chory, mężu.

JADZIA. Dobrze, że tata się obudził. Myślałam, że nigdy nie wstanie.

MORGAN. Czego sobie życzysz, córko? (*całuje ją*).

JADZIA. (*całuje go w rękę*) Nic, proszę taty, tylko chciałam tatę widzieć. Tata był zawsze taki dobry dla mnie.

MORGAN. Nie Jadziu, nikomu nie byłem dobry.

JADZIA. Tylko dla siebie tata nie był dobry, ale dla mnie i dla mamy, tak.

MORGAN. Nie, nie, Jadziu, nie mów tak; ale mów, że dla was byłem bardzo niedobry. O, gdybym tylko był tak dobry, jak ty aniołku, tobym chciał umrzeć i opuścić ten mizerny świat. O! gdyby nie było trunków do picia, gdyby nie było szynków i hotelów! Obym już nie żył!

JADZIA. Ja chcę jeszcze tacie coś powiedzieć.

MORGAN. Co takiego, serduszko?

JADZIA. Ja nie będę mogła chodzić po tatę więcej.

MORGAN. Nie mów o tem Jadziu, ja już więcej nie wyjdę wieczorem, aż wyzdrowiejesz. Nie pamiętasz com ci przyrzekł.

JADZIA. Tak, ja wiem, — ale —

MORGAN. Ale co?

JADZIA. Ja wnet opuszczę tatę i mamę, Pan Bóg mnie woła do nieba.

MORGAN. A co my zrobimy bez ciebie, dziecko? Niech i ja z tobą umrę!

JADZIA. Tata jeszcze nie może iść ze mną. Tata jeszcze musi dłużej żyć. Tata się musi jeszcze przygotować. Ja tacie chciałam pomódz, tyle razy, ale napróżno. Tata jednak chodził do szynku. Nie mogłam taty wstrzymać, choć dużo się modliłam. Może teraz w niebie, więcej

będę mogła dla taty uprosić. Będę się modliła za tatę i za mamę, i czasem przyjdę do taty, nieprawda mamó?

PANI MORGAN. Córeczko kochana, chyba nas jeszcze nie opuścisz?

JADZIA. Tak, tak, mamó! Ja wiem napewno. Śniło mi się o tacie, gdym spała. Myślałam, że to było wieczór. Ja byłam jeszcze chora, tata mi obiecał, że nie wyjdzie, aż wyzdrowieję, a jednak wyszedł i myślałam, że tata poszedł do Śladka. Tedy się stała mocniejszą. Wstałam i oblekłam się i poszłam za tatą, wprost do szynku i tam tata stał w drzwiach. I tata był tak pięknie ubrany. Tata miał nowy kapelusz i nowy surdut i buty, tak się mocno świeciły. A gdym tatę zobaczyła, to mówiłam: Czy to nasz tata? A tata mi powiedział: Tak, Jadzio, to jest twój prawdziwy tata. Nie ten stary pijak, Józef Morgan, ale "pan" Morgan teraz. Wszystko tak dziwnie wyglądało. Tam już nie było kantoru z butelkami i szklankami, ani nie śmierdziało od dymu z cygar i papierosów, ale było pełno różnych rzeczy na sprzedaż. A nad drzwiami było taty nazwisko. Tak się cieszyłam, aż się obudziłam i tedy płakałam, bo to był tylko — sen.

MORGAN. Za łaską Boga, ten sen stanie się rzeczywistością; bo tu i teraz przysięgam wam, że już więcej wieczorami niepotrzebnie wychodzić — nie — będę.

PANI MORGAN. Czy na prawdę przyrzekasz to, Józefie?

MORGAN. Tak! i więcej!

JADZIA. A co?

MORGAN. Że nigdy już nie wstąpię do wyszynku.

JADZIA. Nigdy?

PANI MORGAN. Czy na serjo to przyrzekasz?

MORGAN. Tak, i jeszcze więcej: że już nigdy ani truneków ani tytoniu używać nie będę. Dziś jeszcze pójdę do Ks. Proboszcza i te przysięgi przed nim i przed Bogiem, na kolanach podpiszę. On zgadł, że ja kiedyś do niego przyjdę. Wstyd mnie teraz trochę, ale on się pewnie ucieszy.

PANI MORGAN. Ach, mężu, to wielka radość dla mnie!

Ale patrz na Jadzię, jej oczy stanęły — kona. (*dają jej gromnicę a podczas następnej przemowy Jadzi, wchodzi z tyłu niespostrzeżenie Anioł Stróż i wolno, jakby zabierał jej duszyczkę, krzyżuje sobie ręce na piersiach i po "pochwalony" zwolna odchodzi, kędy przyszedł*).

JADZIA. Tak, mamó, Jadzia już dosyć długo żyła. Pan Bóg wysłuchał jej modlitwy. Tata już mnie więcej nie potrzebuje, bo będzie dobry. Ach! Jak się ciemno robi! Ja już nic nie widzę! Już mnie nic nie boli! Jak to pięknie! Tata już teraz będzie dobry dla mamy. Już idę! Żegnaj tatę... i mamę! (*całują ją*) Niech będzie pochwalony...! (*umiera*).

RAZEM. (*Trzy razy*) Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, itd. (*oświecenie błękitne. Muzyka piano. Kurtyna spada wolno*).

AKT V.

SCENA I.

(*Krajobraz. Ulica przed wyszynkiem Śladka*).

ROMAŃSKI. (*wchodzi z 1-go pr.*) Już dziewięć lat, jak tu byłem ostatni raz. Nie wiele się tu zmieniło na pozór. Dziewięć lat to sporo czasu. Prosta ciekawość mnie tu znowu ciągnie. Ciekawym, czy wszystkie te osoby, z którymi się zaznajomiłem jeszcze żyją. Widać nowy kościół — wspaniały. Ciekawym, czy ten poczciwy Ks. Li-tański jeszcze tu jest. Ciekawym, czy Szymon Śladek jeszcze ma ten hotel. Pamiętam, że obiecał tego księdza zniszczyć i wypędzić, bo ksiądz rzucił klątwę na jego wyszynk. Jakoś ten hotel nie tak pięknie wygląda, ale trzeba wejść i zobaczyć, jak w nim idzie. (*bierze walizki i chce wejść ale nadchodzi Witka z 1-go lew.*)

WITKA. No, już chyba doprawdy zeszedłem na psy! Niżej zejść nie mogę i nie myślę. (*Spostrzega Romańskiego*) Patrzcie! Dzień dobry, panu!

ROMAŃSKI. Czy mnie oczy nie łudzą? Czyś to ty, Witka?

WITKA. Nie inaczej, ten sam Sampel Witka, herbu We-
sołek, który wziął pana za cyrulika, dziesięć lat temu.
Ale pan się wcale nie zmienił.

ROMAŃSKI. Nie mogę się tobie podobnym komplimen-
tem odwzajemnić. Zmieniłeś się ty, dość znacznie.

WITKA. Tak, ja wiem. Chyba, żeby pan chciał
z grzeczności kłamać.

ROMAŃSKI. Widocznie jesteś sterany walką życia,—
może z wódką? Pamiętam, że dawniej tego ją pożerałeś.
Kto zwyciężył?

WITKA. Przyznam się, że musiałem jej pola ustąpić.
Im więcej jej pożerałem, tem więcej jej było, aż już dalej
nie mogłem, i wyrzekłem się jej na zawsze.

ROMAŃSKI. Tak? Toś dobrze zrobił, choć trochę późno.
A jak dawno temu?

WITKA. Prawda, nie tak dawno temu, bo dopiero idę
od majora Morgańskiego, który mi radził iść do Ks. Li-
tańskiego i przysięgę uroczyście przed nim złożyć; ale
już więcej, ani kropelki pić nie będę.

ROMAŃSKI. To dobrze! A kto to taki, ten major Mor-
gański, który tak dobrze radzi?

WITKA. Czy pan nie zna go jeszcze? Czy pan go nie
pamięta? To najpoczciwszy człowiek w Cedrówce i szcze-
ry przyjaciel Ks. Proboszcza. Pan go chyba musi znać.

ROMAŃSKI. Nie, nie przypominam go sobie. Dawniej
major Hamski był uważany za najpoważniejszego. Mor-
gański? (*zamyśla się*) Pamiętam to nazwisko, Morgan,
ale to był najgorszy pijak i próżniak....

WITKA. To ten sam! Gdy mu ta dziewczeczka umarła,
to tak, jak gdyby ręką przewrócił. Od tego czasu, nie
tknął ani kropelki; a w ostatnich wyborach, wstrzemięź-
liwcy obrali go majorem miasta, zamiast Hamskiego,
który w budlerce cały majątek stracił i w dodatku jeszcze
w więzieniu siedzi.

ROMAŃSKI. Czytałem o tem w gazecie. A ten....
ten.... jak się nazywał.... Zielonka.... gdzie jest?

WITKA. Ten szuler? On zaczął igrać z prawem i prze-

grał. Zabił Walosia, mieli go wieszać, sam się powiesił w więzieniu.

ROMAŃSKI. A Śladek, jeszcze żyje?

WITKA. Tak, jeszcze na starym stanowisku, jak dawniej, tylko że sam jest swoim najlepszym kostumerem. Miał proces o zabicie córki Józefa Morgana, ale że zaprzyśiężeni byli jego kostumerami, więc udali, że nie mogli się zgodzić na wyrok, więc go puścili; ale go to kosztowało nie mało. Od tego czasu, mnie zatrzymał, ale jeszcze nie dokonał tego i nie dokona, bo postanowiłem przestać. Major Morgański kupuje mi nowe ubranie i będę u niego pracował we młynie.

ROMAŃSKI. To dobrze! Teraz jesteś na drodze do szczęścia.

WITKA. Tak i jak myślę. Dosyć było tego głupstwa. Dużo ludzi już teraz inaczej myśli o picciu niż dawniej. Ks. Litański nie przestawał mówić o tym głupim nałogu i dużo starych się nawróciło, a młodzież zaraz zabierał do Tow. Wstrzemięźliwości. Wielu starych pijaków pomarniało, więc Śladek już mało ma kostumerów. Interes lichy idzie.* Nieraz jeszcze wygaduje na Ks. Litańskiego, że mu interes psuje. Drwi z jego klątwy, ludzi namawia do buntu, ale to wszystko nic nie pomaga. On będzie musiał zamknąć. Już ja jeden nie dam mu ani centa, a gdy nie będzie miał kostumerów, będzie musiał zamknąć i basta.

ROMAŃSKI. Jestem ciekawy, co on teraz myśli o tem wszystkim. Muszę z nim jeszcze pomówić.

WITKA. Możesz pan wstąpić, kiedy chcesz, ale uprzedzam pana, że pan nie znajdzie tam wielkiego porządku. On wygląda jak beczułka i z daleka śmierdzi jak spluwaczka, a jego Franek wciąż pijany. Jego córka, Kasia, w karczmie z chłopakami baraszkowała i po tańcach latała, aż się schabiła. Poszła gdzieś w świat i nikt nie wie co się z nią stało. Podobno ten łotr, Zielonka, coś o tem wiedział. A poczciwa jego żona, śp. Anna, od tego wszystkiego rozum straciła i umarła w domu okłakanych.

ROMAŃSKI. Tak zwykle bywa na karczmie. --- No, win-

szuję ci twojego postanowienia! Idź do księdza i powiedz mu, że po południu wstąpię do niego, zanim odjadę. Do widzenia!

WITKA. Do widzenia! (*Romański wchodzi do szynku*) To doprawdy dobry człowiek ten pan Romański, szkoda, że nie posłuchał jego rady dziesięć lat temu. Nie byłbym dzisiaj taki obdarty. Major Morgański powiada, że kto nie pije, zawsze ma pieniądze, a ja nic nie mam, bo dawał wszystko Śladkowi. "Głupi dawał, mądry brał." A on co mi za to dawał? Trucizny. A ja co teraz mam? Nic! "Mądry Polak po szkodzie." Ale jeszcze nie za późno! Patrzcie na Józefa Morgana. On późno zaczął, a jednak, jak już wysoko doszedł. Ja teraz zacznę żyć tak, jak on i czegoś się jeszcze też dorobię. (*Patrzy w 1-sze lew.*) Ale, idzie panna Mitabelka Kołodziejówna. (*Witka otrzepuje się i ogarnia, aby dobrze wyglądała*) Mam ochotę się jej zapytać, czyby ona się nie chciała spleść z Witką dozgonnym węzłem. Jestem teraz gotowy. Wyzwolilem się z jednego kłopotu, a że Witkowie, czy tam Witkowscy, — proszę państwa teraz, — nie mogą żyć bez kłopotu, więc chyba trzeba się wplątać w inny. Szkoda, że nie mogę sobie teraz wypić jednego, na od wagę.

MITABELA. Samplu! Sampelku! Gdzieś ty był tak długo? Szukam cię po całym świecie.

WITKA. To chyba biegasz telegrafem bez drutu, bo jeszcze nie ma godziny jak cię widziałem, gdyś cebulę skubała i płakała jak gdyby ci babka umarła. A coś miała tak pilnego, żeś mnie szukała?

MITABELA. Major Morgański mnie wysłał za tobą, abyś odszukał tego pana — ty wiesz — tego, który tu już był kilka razy, — którego pan Morgański spotkał kilka razy u Śladka. Major się dowiedział, że on tu znowu przyjechał i chce, aby u niego zagościł, póki będzie w Cedrówce.

WITKA. Jam się już odrzekł wstępować do szynku, ale uczynię tak, jak major każe. — Słuchaj Mitabelko, czyś zrozumiała to, com ci mówił wczoraj w kuchni?

MITABELA. Przecież, że cię dobrze rozumiałam, ty zło-

dzieju! Ja nie taka głupia, jak ty wyglądasz. Coś zrobił z moimi książkami? Gdzie jest moja "Zaczarowana Królewna" i "Rycerz Jasnowłosa"?

WITKA. Królowę odczarowałem, a rycerza ostrzygłem, i wyprawilem oboje w ciepłe strony, skąd nigdy nie wróca. Rozumiesz?

MITABELA. Toś ty mi wszystkie moje ulubione książki popalił, nieprawda? Ty ladaco! Sam nie czytasz i zazdrościsz drugim.

WITKA. Słuchajno, Mitabelko. Czemu ty się tak sztelujesz, jak głupia? Czemu nie bierzesz przykładu ze mnie i nie zachowujesz się poważnie?

MITABELA. Z ciebie wziąć przykład? — Piękniebym ja wyglądała — pijana od rana do wieczora! Toć tyś pośmiewiskiem rodzaju ludzkiego.

WITKA. Tym razem mylisz się, bo to nie prawda. Jam się już odrzekł picia i właśnie idę do księdza to podpisać. Więc patrz, jam przestał pić a ty przestań czytać te głupie romanse, a wnet się lepiej zrozumiemy. Widzisz ja myślę założyć spółkę wzajemnej pomocy i chciałbym abyś ty do niej wstąpiła.

MITABELA. Co takiego, Samplu?

WITKA. Widzisz, to tak. Jam już pomówił z majorem Morgańskim, że potrzeba poprawić ród ludzki tu w tej okolicy. Śladek już tyle ludzi natruł i sami się pozabijali tak, że jest wiele miejsca próżnego. Miasto potrzebuje obywateli. Chcę, abyś wzięła akcje w tej nowej spółce i mi pomogła. Ty i ja tylko, rozumiesz?

MITABELA. He? Jak głupio ty gadasz! Wcale cię nie rozumiem.

WITKA. Bo nie chcesz! — dobrze! — Nie kłopot się, to nic nie szkodzi. Jam się już dosyć nahulał i czasu natracił. Trzydziestka za pasem i czas się żenić. Skoro ty mnie nie chcesz, poszukam sobie innej. Skoro nie będę pił, będę musiał wieczorami w domu siedzieć. A, niech mnie kaci biorą, jeżeli będę siedział sam.

MITABELA. Ja nie mówiłam, że cię nie chcę.

WITKA. A, to prawda! Tego nie mówiłaś, ale pocóż dręczyć człowieka, zanim go masz? Dosyć będzie czasu na to potem. No słuchaj! Gdziebyś ty dostała lepszego, łagodniejszego, pracowitszego, rozumniejszego, roztropniejszego, trzeźwiejszego, piękniejszego, mężniejszego i pod każdym względem doskonalszego męża odemnie? Powiedz teraz stanowczo, czy nie chciałabyś się stać panią Witkowską, aż do śmierci? Mów prędko, bo mi się spieszy.

MITABELA. (*na boku*) Nareszcie! (*tedy do Witki*) Ach, Sampelku, Ty wiesz, że nie mogę ci odmówić.

WITKA. A no, teraz gadasz do rzeczy. Daj zadatek. (*chce ją całować, ona się nie daje, ociera usta — odpycha go*).

MITABELA. Słuchaj, ty raptusie, czy ty nie wiesz, że to grzech? Ani mnie tknąć. Lepiej idźmy do księdza, dać na zapowiedzie, skoro ty i tak do niego idziesz.

WITKA. Dobrze! ale tylko pod jednym warunkiem.

MITABELA. (*Z obawą*) Co takiego? Witko?

WITKA. Widzisz, nie chcę, abyś mi wstyd robiła przed księdzem: więc abyś od dziś dnia już mi więcej gumy nie żuła, jak jaka koza.

MITABELA. Ach, Sampelku, proszę cię!

WITKA. Ani myśli; a jeżeli nie, to możesz sobie iść, a ja sobie odszukam Kasię. To piękna dziewucha.

MITABELA. No, Sampelku, skoro koniecznie tak chcesz, to przestanę. Patrz! (*Wypluwa gumę i przydeptuje ją*).

WITKA. No, teraz możemy iść. We dwoje będę miał, więcej odwagi. Ale nie mam ani centa, na zapowiedzie.

MITABELA. To nic nie szkodzi, ja mam i zapłacę. (*Wyciąga pieniądze z pończochy*).

WITKA. Nie, to nie wypada, abyś ty płaciła; daj mnie to ja zapłacę.

MITABELA. (*Daje pieniądze*) Dobrze, ale tylko pod jednym warunkiem.

WITKA. (*Z obawą*) Co takiego, Mitabelko?

MITABELA. Widzisz, nie chcę abyś mi wstyd robił przed

księdzem, więc abyś od dziś dnia, już mi więcej nie palił, bo śmierdzisz jak kozieł.

WITKA. (*Błagajęco*) Ach, Mitabelko, zmiłuj się!

MITABELA. Ani myśli, a jeżeli nie, to możesz sobie iść, a ja poflirtuję z tym starym kawalerem, Romańskim. To dobry człowiek.

WITKA. No, Mitabelko! Skoro koniecznie tak chcesz, to już przestanę. Patrz! (*Rzuca papierosa i przydepuje go*).

MITABELA. Teraz możemy iść do księdza; ale zobaczę czy dobrze wyglądam. (*odwraca się od niego trochę na swoje prawo, wyjmuje z kieszeni lustro, przegląda się, sięga do pończochy po skórkę zamszową z pudrem i pudruje się. Potem wszystko chowa i mówi:*) Teraz dobrze; idźmy.

WITKA. Co? Ja mam iść do księdza z takim koczko-danem? Ani myśli. Zetrzyj to natychmiast i żebyśmi więcej mąki tak nie niszczyła. Mąka na chleb, a nie na pysk.

MITABELA. No, Samplu, skoro tak już koniecznie chcesz, to już i to uczynię. (*Zciera puder*) Patrz, czy dobrze teraz?

WITKA. Tak, teraz wyglądasz naturalniej. Możemy iść.

MITABELA. Za to ty musisz wprzód do księdza mówić.

WITKA. On się już sam domyśli: (*Wychodzą na pra.*)

KURTYNA.

SCENA II.

(*Wnętrze wyszynku Śladka. Wszystko w nieładzie. Mało butelek, mało pudełek od cygar, krzesła połamane, sztuczna butelka na kantorze, Śladek otępy, twarz nabrzmiała, o jednym oku, lichy obleczony. Franek podobnie, kurzy cygara z pijacka.*)

ŚLADEK. (*Wchodzi z 3-go pr.*) Franek! — Frącek! — Gdzie u diabła jest ten łotr. Popsuł się ten chłopak tak,

jak wszystko — i nie chce słuchać. Wszystko idzie do djabła. Wszelkimi siłami starałem się uczciwie na życie zarobić, a to wszystko napróżno. Poprostu nie opłaci się żyć uczciwie. To czysty humbug. Już jestem stary, ale gdybym mógł jeszcze raz żyć na tym świecie, tobym kradł, oszukiwał, kłamał, co bądź czynił, aby sobie dogodzić. “Używać świata, póki służą lata.” Nie boję się piekła! To wszystko humbug. Gdyby było piekło, toby było źle z szynkarzami i pijakami; ale niema piekła. To dobrze! Życie to para. Człowiek wyzionie ostatni raz i już po wszystkiemu. Niema piekła!

ROMAŃSKI. (*Wchodzi z 1-go lew.*) Dzień dobry gospodarzu! Jeszcze żyjesz?

ŚLADEK. Jeszcze żyję, — jeszcze żyję — i to wszystko. Pan pięknie wyglądasz, choć ja — choć ja — no, jak się pan masz?

ROMAŃSKI. O, dziękuję, czuję się dobrze: zdrów i wesół. Czy mogę się tu ugościć na noc?

ŚLADEK. Ja myślę! — Franek wnet wróci. Odkąd mi żona umarła, to Franek się wszystkiem zajmuje.

ROMAŃSKI. Trochę tu ponuro u was, czy nie idzie interes?

ŚLADEK. Nie tak jak dawniej, to prawda. Ci wstrzemięźliwcy wszystko psują. Niech ich djabli wezmą!

ROMAŃSKI. Doprawdy?

ŚLADEK. Tak, w Cedrówce już nie tak, jak dawniej bywało, gdyż pan tu był pierwszy raz. Ci wstrzemięźliwcy poprostu mnie zniszczyli. Niech ich tam piekło! Idzie Franek, on panu usłuży.

FRANEK. (*Wchodzi z 1-go pr. z cygarem*) Słuchaj stary, poco się tu wałęsasz? Idź narąb drzewa, trzeba obiad gotować. (*Spostrzega Romańskiego*) A, skądś ty się wziął? Romański! Ja cię jeszcze pamiętam. Jak się masz?

ROMAŃSKI. Dobrze, dziękuję! Chciałbym się tu ugościć na dzień, dwa. Ojciec polecił mi, udać się do ciebie.

FRANEK. Będziesz musiał się kontentować tem co jest.

—Liche czasy. Ci wstrzemięźliwcy już nam nie pozwalają nawet na życie uczciwie zarobić. Niech ich piekło weźmie! Wczoraj była tu nasza sąsiadka Hargajska, chciała wszystko potłuc i groziła procesem, jeżelibyśmy jeszcze raz dali wypić jej synowi.

ROMAŃSKI. To mu nie dać i nie będzie procesu.

ŚLADEK. To byłoby pięknie, nie prawda? Czy to nie mój interes, sprzedawać trunki tak, jak inne towary? Któż ma mi prawo zakazywać na życie zarabiać?

ROMAŃSKI. Życzyłbym ci z całego serca, abyś sobie obrał uczciwszy zawód.

FRANEK. Strzeż się bratku! Nie ubliżaj ojcu, bo w skórę dostaniesz.

ROMAŃSKI. Podziwiam synowskie przywiązanie i szanuję je, ale również życzyłbym, aby miało lepszą podstawę.

FRANEK. Co? Czy ty myślisz, że możesz tu chodzić i obydwom ubliżać dowolnie — bezkarnie? Ja cię nauczę! *(Rzuca się środkiem do Romańskiego i chce go uderzyć. Wchodzi Witka, zabiega mu drogę i rzuca go w kąt 3-cie pr.)*

WITKA. Ani mi się waży tknąć tego pana, bo ci kości połamię.

FRANEK. Psia...!

WITKA. A, możesz kląć jak ci się podoba, to nikomu nie szkodzi, tylko tobie samemu.

ROMAŃSKI. Dziękuję ci Sampelku, nadszedłeś właśnie w czas i sprawiłeś się należycie.

WITKA. Oni mię tu już znają: nie pozwalam, aby młodszy ubliżał starszemu, a tem mniej, aby miał go uderzyć. Oprócz tego, szanuję pana i mam do pana polecenie od mojego chlebowawcy, majora Morgańskiego. Gdym mu powiedział, że pan jest w mieście, zaraz mnie wysłał, pana odszukać i zaprosić na ucztę, którą wyprawia, dziś wieczorem i prosi, aby pan u niego przestawał, póki będzie w Cedrówce.

ROMAŃSKI. Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie.

ŚLADEK. Tak to jest. Gdy dostanę dobrego gościa, zaraz taki pijak, jak ten Morgan, mi go odbiera. Poczciwy człowiek już tu nie może wcale ani na życie zarobić.

WITKA. Co do uczciwości, to wy tu dwaj o tem ani mówić nie powinniście, boście już dawno tego się wyzbili, a co do zarobku na życie, jesteście pasożytami na ciele społecznym. Wy pająki, naciągacze, łapichłopy, łudzigrosze, wy leniuchy, wy darmochoy, darmozjady, pasibrzuchy, truciele, co wy dobrego czynicie dla społeczeństwa? Z cudzej krzywdy i nędzy żyjecie, i to wy chcecie nazywać uczciwym zarobkiem? A, tfu! (*Spluwa*) na taki zarobek! Pijawka i łasica też tak na życie zarabiają, gdy krew wysysają i zatruwają.

FRANEK. Dosyć tego, ty faryzeuszu! (*Chwyta za stółek, aby go uderzyć*).

WITKA. No, no, nie tak prędko, ty pijusie! Nie udawaj takiego rycerza, bo ci wnet ten pałasz wytrącę. Jesteś tak zalany twą elką, że radzę ci cicho się zachować, bo ci obręcz rozbiję i się rozlejesz. Jestem trzeźwy dziś i dam sobie radę z wami. (*do Romańskiego*) Idźmy ztąd panie, to już nie hotel, to chlew, gdzie, nie ludzie, ale dwa wieprze mieszkają. Pójdź pan, ja już idę. (*wychodzi w 1-sze lewo*.)

ŚLADEK. (*Do Romańskiego*) Proszę, niech się pan nie gniewa na Franka, on nie myślał pana obrazić.

FRANEK. Niech się gniewa, jeżeli chce, co ja dbam? A ty stary, nie potrzebujesz mieszać do nieswoich spraw.

ŚLADEK. No! no! Jenó, proszę, nie pozwalając sobie za wiele. Nie ścierpię tego.

FRANEK. To nie wtrącaj się, słyszysz? (*bierze butelkę, chce nalewać, aby pić*).

ŚLADEK. Daj temu spokój, już tak zawiele wypił. Ustaw tę butelkę!

FRANEK. (*Szyderczo*) Przepraszam --- później, nie teraz.

ŚLADEK. Ustaw, ci powiadam!

FRANEK. Nie potrzebuje, słyszysz?

ŚLADEK. Ustaw, ci mówię! Już tak jesteś pijany. Ustaw! (*Idzie do Franka.*)

FRANEK. Idź sobie! Idź! Bo jak cię rąbnę! (*Śladek chwytą Franka, Franek rzuca go na ziemię w środku. Śladek wstaje i biegnie do Franka. Franek odrzuca go i uderza batelką w głowę. Śladek pada, Franek się przeraża.*)

ŚLADEK. (*w konaniu*) Przekleństwo Księdza. (*umiera*).

ROMAŃSKI. Franek, zabiłeś ojca twego! (*Franek wybiega w 3-cie pr. pozornie, aby się przygotować do ucieczki. Romański zabiera walizki, aby wyjść*) Skoro tylko odwiedzę Ks. Litańskiego i majora Morgańskiego, zaraz odjadę z tych stron. Nie spodziewałem się oglądać tak okropnych scen. Zdaje się, że to koniec karczmy. Ile to nędzy i zbrodni ona była przyczyną przez te dziesięć lat, a jej gospodarz skończył tak, jak mu Ks. Litański przepowiedział. (*wychodzi w 1-sze pr.*)

FRANEK. (*Gotowy do podróży, spiesznie zabiera pieniądze z kasy i wybiega w 1-sze lew. mówiąc*) Chciało mu się karczmy; ma teraz. Wszystkich nas zrujnował.

KURTYNA.

SCENA III.

(*Pokój bawialny w domu majora Morgańskiego. Wisząca lampa oświetlona, stoły na prawo i lewo, fotele w środku w głębi, tamże drzwi wychodzące na ogród. Na stołach gitara, kwiaty, książki. Morgan i pani Morgan siedzą na kanapie.*)

MORGAN. No, żonko, czy nie dotrzymałem wiernie przyrzeczenia danego naszej zmarłej córce?

PANI MORGAN. Tak, Józefie, to też te lata tak słodko i prędko przemieły jak sen. Miałyby ona teraz lat dwadzieścia. Byłaby dla nas wielką pociechą.

MORGAN. "Bóg dał, Bóg wziął, święć się Imię Jego." (*słychać pukanie*) Proszę! (*Mitabela wprowadza Ks.*)

Litańskiego i Romańskiego. Mili goście, witajcie! (*Morgan całuje księdza w rękę a Romańskiego wita serdecznie*) Już kilka lat, jakeśmy tu pana nie widzieli. Słyszałem, że pan w mieście, a że tam w tym hotelu nie bardzo przyjemnie, więc kazałem pana prosić, aby u nas się zagościł, przez czas pobytu swego w Cedrówce.

ROMAŃSKI. I z przerażeniem uciekłem stąd, bo widziałem tam rzecz okropną. Franek zabił Śladka.

MORGAN. Czy podobna?

KSIĄDZ. Smutne, ale nie rzadkie zdarzenie w karczmach.

MORGAN. Czy Ks. Dobrodziej był u niego?

ROMAŃSKI. Zanim skonał, jeszcze coś szepnął o księdzu. Zdawało mi się, że mówił "przekleństwo księdza," ale nie było można dobrze zrozumieć. Sam jeden byłem tego świadkiem i skonał prawie natychmiast, zanim mogłem wybiedz po Ks. Dobrodzieja.

MORGAN. On dobrze pamiętał, co mu Ks. Proboszcz powiedział, krótko po otwarciu tego wyszynku i nieraz z przestachem o tem wspominał.

PANI MORGAN. Jego żona, śp. Anna, także mu nieraz to przypominała, aby skłonić go do powrotu na stary młyn, ale napróżno.

KSIĄDZ. Ona nieraz za niego wycierpiała. Póki jeszcze był młynarzem, nie było porządniejszego i bardziej lubianego człowieka w całej Cedrówce, ale odkąd otworzył wyszynk, to tak jak gdyby ręką przewrócił. Już ani nie ten sam Śladek. Zupełnie się popsuł i familję zrujnował.

(*Wchodzi z 1-go pr. dwóch policjantów*).

1-szy POLICJANT. Oznajmiam Panu Majorowi, że przed godziną, Szymona Śladka, hotelistę, znaleziono w jego lokalu, zabitego. Jego syna Franciszka, jako podejrzanego o tę zbrodnię, aresztowano, gdy wsiadał na pociąg.

MORGAN. Dziękuję panom, właśnie się o tem dowiedziałem od tych panów. Proszę hotel zamknąć i opieczętować, aż do rozpatrzenia okoliczności.

2-gi POLICJANT. Wedle rozkazu. (*wychodzą*)

KSIĄDZ. Już tu jestem proboszczem z górą lat dwadzieścia. Dawniej, przed otwarciem tego wyszynku, było spokojnie w Cedrówce, ale odkąd ten nieszczęsny człowiek otworzył tę norę, to tak, jak gdyby się otworzyła paszcza samego piekła, kędy szatani wychodzili na wszystkie strony, na zagubę dusz. Zbrodnia po zbrodni nastawała i ogólny poziom moralności znacznie się obniżył. Może teraz, po tak okropnym zakończeniu Szymona, sumienie publiczne przebudzi się. Musimy się starać wszelkimi siłami, nie dopuścić do ponownego otwarcia tej karczmy.

MORGAN. Daję Ks. Dobrodziejowi słowo, że, dopóki będę majorem Cedrówki, ani ten, ani inny wyszynk otwarty nie będzie, a przy następnych wyborach, musimy się starać przeprowadzić uchwałę, że żadnego wyszynku nie będzie wolno otworzyć w Cedrówce.

WITKA. (*Wchodzi z 1-go pr.*) Ja obiecuję dać mój głos za taką uchwałę, — jeżeli mi żona na to pozwoli. Ha! ha! ha!

MORGAN. Co mówisz, Wesołku?

KSIĄDZ. Tak, Panie Majorze, Sampel Witkowski się żeni z pokojówką pańską. Pierwsza zapowiedź w niedzielę.

WITKA. Ślub od dziś za trzy tygodnie.

MITABELA. Prosimy na wesele.

MORGAN. Winszuję wam serdecznie i proszę, aby wesele odbyło się tu u nas tak, jak przystoi na chrześcian wstrzemięźliwców, trzeźwo, wesoło i poważnie.

ROMAŃSKI. Myślałem zaraz odjeżdżać, ale teraz z radością poczekam, aż po weselu.

WITKA. Wszystkich obecnych prosimy także na wesele.

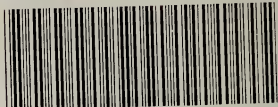
MITABELA. A na dzisiaj powiemy: "Dobra Noc!"

KURTYNA SPADA.

KONIEC.

MAY 19 1913

LIBRARY OF CONGRESS



0 002 725 956 A





LIBRARY OF CONGRESS



0002725956A